



ODRODZENIE

TYGODNIK

Nakład:
40.000
Redakcja:
Daszyńskiego 16
Administracja:
Daszyńskiego 14
Cena 25 zł

Rok V

Warszawa, dnia 25 kwietnia 1948 r.

Nr 17 (178)

W PIĄTĄ ROCZNICĘ POWSTANIA W GHETCIE

WANDA KARCZEWSKA

NAD ALBUMEM „STARA WARSZAWA”

Stąd z piętra startej w proch dziś kamienicy
wybiegał ongiś brat mój, szyn ulicznych spawacz,
nieutrudzony olimpijczyk
z błękitnym w kolbie płomieniem —
znleczem nocnej Warszawy.

Tu po tych schodach, z których szczątki wiszą
chodziła kształna jak waza etruska
jedna z siostr moich, wypukłooka
Miriam, mała Żydówka.
Teraz tu po niej wędrujące w nicosć
martwe obłoki
schylone nad pustką...

Tam
gdzie dziś leży zmarła czołgów rdzawość
i tam
gdzie trawa w grzyby zapuszcza korzenie, —
siostry nasze i braci i poległych krwawo
mężów śnieg przysypuje milczeniem.

Ja — ocalona
niosąc zastępy w rękach po nich kształt —
wrosła w posąg pamięć, ●
myślę:
jakie jest prawo poety i jego powinność.
jakie wziąć słowo za węgielny kamień
pod fundamenty tych co idą lat,
by po nas, dziś jeszcze żywych, inny
odnaleziono kiedyś —
lepszy
ludzki ślad.



STANISŁAW WYGODZIKI

Oto siostry moje. Przyjrzyj im się z bliska,
tak patrzyły one tuż przed rozstrzelaniem,
ale ty nie patrz, jak spoglądał fotograf
gdy na pierwszym planie
były siostry moje z Chłodnej i Śliskiej.

Nie patrz jak obiektyw gdy staje przed freskiem,
on jeszcze chwilę mierzy centymetr, milimetry,
oto siostry moje żydowskie, polskie,
czeskie,

Francuzki gdy ostatni raz stały przed metro,
a tamci mierzyli,

Nosiły moje buty z rozdarta cholewą
i płaszc mój zniszczony i mój stary kaszkiet,
ja Żyd i Polak, Rosjanin i Francuz,
pragnący ujrzeć Madryt i wolne Ateny
wolny jestem od lęku, ale nieskory do śpiewu
tak długo
dopóty wiem
jak patrzyły siostry moje na chwilę przed rozstrzelaniem.

Nie patrz jak obiektyw, który sławie,
który sławie za to, że celniej patrzy niż lufa,
bo nienawdzieć muszę każdego co strzelał do moich siostr
Polek, Rosjanek, Żydówek, Francuzek,
nienawdzę każdego co pragnie domyślności ufać,
gdy je obnaża z czapki mojej, z palta,
z bluzek,
że na naszych asfaltach,
w moich zabitych siostrach
ujrzy Amazonkę,
lub Nike.

Ja im przywracam mój lęk o braci,
a Nike lęku nie zna,
ja im przywracam moją obawę o siostry
Amazonka lęku nie zna,
ja im przywracam zwykłe ludzkie imiona
tyle tych imion ile siostr posiadać może
ten, który kocha wolność i życie,
ten który obraz żywych zachował —
bliski na odległość oddechu,
bliski na odległość śmierci,
ja ich imion nie zmienię
jak nie zdołam odmienić ich śmierci.

JERZY BOREJSZA

IDEOLOGIA NA ŚMIETNIKU?

Jerzy Stempowski powiedział mi
jak przed laty pewien Rosjanin
wnikliwy obserwator naszego życia,
określił stosunki polskie jednym
zdaniem: „U was nie ma polityki,
u was są „pasunięcia”. Było to
gdzieś w r. 1924.

Ostatnie półczwarta roku trwałej,
planowej pracy kierowników nawy
państwowej przekonały społeczeń-
stwo, że czas chaotycznych, bezpla-
nowych „posunięć” minął, wyniki
zaś odbudowy kraju unaocznily
wyższość gospodarki planowej nad
kapitalistyczną. Tylko w dziedzinie
kulturalnej, a szczególnie na odcin-
ku sporów literackich, sklepikar-
stwo myślowe, chaotyczne „posu-
nięcia”, panoszą się — jak dotąd —
bezkarnie. I będą się panoszyć, pó-
ki nie sprowadzimy naszych spor-
ów na udeptaną ziemię.

Niestety, ilekroć ktoś usiłuje
sprowadzić sprawę na udeptaną
ziemię — następuje obrona istnie-
jącego stanu przy pomocy dwóch
chwytów: Pierwszy, to krzyk że się
upraszcza, wulgaryzuje, obniża po-
ziom sztuki. Drugi, to narzeka-
nia na mentorstwo „sanitariuszy”
literatury, na chęć narzucenia ide-
ologii przez polityków.

Trzeba przyznać, że wszelkie ja-
sne stanowisko jest już uproszcze-
niem w stosunku do braku stano-
wiska, do chęci wymyślenia się, na-
wet celna anegdota, błyskotliwym
powiedzeniem, od poważnego sto-
sunku do spraw literatury. Nieraz,
w ogniu sporu literackiego wyja-
skrawienie stanowiska jest mniej
szkodliwe i bardziej męskie, aniżeli
bojaźliwe ukrywanie swoich pogląd-
ów przy pomocy niezrozumiałego
Badanie zagadnień estetyki i litera-
tury przeżywało okres znachor-
stwa, a wszelkie badania naukowe
prowadzą nieuniknienie do uprosz-
czenia spraw. Ci literaci: zapewnia-
jący w kółko, że są bardzo skompli-
kowani, przypominają raczej ową
wykpiąną przez powieść francuską
kobietę, która zasłaniała swą pu-
stkę wyczuciem frazesem: „Nikt
mnie nie rozumie, ja jestem taka
skomplikowana”.

Po wtóre, stwierdzenie że „nie
można powiedzieć pisarzom coś,
czego by sami lepiej nie wiedzieli,
głębiej nie odczuwali”, (Jan Parandowski),
jest nieślusne, gdyż pisar-
ze nie rodzą się ani z wszechwie-
dzą, ani wszechodczuciem, ale na-
bywają wiedzę dzięki pracy i nau-
ce, a odczuć kształcą również
pracą nad doskonaleniem swego ta-
lentu. Zjawisko literackie jest uwa-
runkowane — co prawda nie pro-
sto i nie mechanicznie — prze-
mianami historycznymi kultu-
ry. Stąd uczulenie niektórych pisa-
rzy na każde słowo wypowiedzi w
sprawach literatury, pochodzące od
ludzi z poza ich środowiska, przy-
pomina drażliwość szamanów, strze-
gących tajemnicy życiodajnych źró-
deł przed ludnością. Jeżeli tu i ów-
dzie krytyka literacka przybiera
ton mentorstwa lub wykazuje brak
kultury, jest to nie mniej godne po-
żałowania, niż niesmaczny wypadek
rozdrażnionego literata.

Odparowawszy — wystarczy na
to czubek buta — te drugorzędne
„posunięcia” w polemice literackiej,
należy przejść wprost do bardzo
ważnej sprawy, która stanowi
kamień probierczy w postawie wo-
bec literatury i sztuki. Jest to
zagadnienie wzajemnego stosunku
ideologii — w najszerszym zroz-
umieniu tego słowa, od filozofii do
polityki — z literaturą.

W polskim czasopiśmiennictwie
literackim przeżywamy obecnie tę
samą walkę, jaka toczy się w mię-
dzynarodowej prasie literackiej.
Rzecz jasna, dyskusja w Polsce jest
z wielu powodów opóźniona i w
związku ze swoistym, rodzimym
rozwojem kultury ma swoją naro-
dową formę. Ma i swoje narodowe
prawy: kiedyś, przed wojną, w
celi 31 w więzieniu na Daniłow-
czowskiej „komuna” ukula termin
„glistorak” dla oznaczenia drobno-
mieszczańskiego publicysty, który
wykręca się jak glista i cofa się jak
rak. Otóż tego glistoractwa literac-
kiego spotykamy jeszcze wiele. Mi-
mo to, ostatnie jasne i śmielsze wy-
powiedzi podzielić można na dwa
kierunki: formalizm i wulgarny
i wulgarny socjologizm z jednej,
marksizm z drugiej strony.

1) Formaliści odrywają zagadnie-
nie formy od treści, ideologii, twier-
dząc, że „literatura żyje własnym
życiem”, „literatura zatem żywi się
własną substancją i wbrew wszy-
stkiemu, co się o tym sądzi, więcej
światła daje, niż z niego bierze”
(Jan Parandowski — Literatura a
współczesność). Znacznie ostrzej

określił to stanowisko Aleksander
Wat, twierdząc, że „politycy, zain-
teresowani w sprawach społecznego
i praktycznego oddziaływania lite-
ratury, mogą z liberalną tolerancją
traktować różne tendencje, arty-
styczne i filozoficzne, przejawiają-
ce się w literaturze wysokiej kla-
sy, natomiast mają prawo i powin-
ni dbać o zdrowy rozwój i użytecz-
ność wychowawczą literatury dru-
gorzędnej, stosowanej i kontrolowa-
ją” (Aleksander Wat — Antyzoil).
Aleksander Wat nie tylko broni
„wielkiej literatury” przed niebez-
pieczeństwem ideologii, ale wpro-
wadza podwójny rozrachunek. Jego
zdaniem na masę wpływa drugo-
rzędna literatura, do niej odsyła
laskawie ideologów pragnących na
nią wpływać. Literaturę wielką na-
leży pozostawić samą sobie. Ma-
luczek, maluczek a ideologię ode-
śle się na śmietnik, byleby nie ka-
łać nią czystości sztuki.

Dla stanowiska formalistycznego
jest bardzo charakterystyczne od-
dzielne rozpatrywanie wartości
ideologicznych i artystycznych
książki. Piszę: „książka ideolo-
gicznie świetna, artystycznie zła”
lub odwrotnie, tak jak gdyby to by-
ły rzeczy rozłączne. Formaliści u-
znają samodzielną, samoistność i
nierzależność od przemian
sztuki, uznają oderwanie estetyki
od ideologii.

Z formalizmem, w Polsce bardziej
niż gdziekolwiek, łączy się tzw. so-
cjologiczna szkoła literacka, niesu-
sznie utożsamiana z marksizmem.
„Socjologowie” również odrywają
formę od treści, ciekawi ich treść
dzieła literackiego, rozpatrują ją
niezależnie od formy, od środków
artystycznych oddziaływania, co z
kolei prowadzi do wydzierławiania
zagadnień estetyki dzieła literackie-
go formalizmowi. Szukają naiwnie
rodowodu socjalnego pisarza, przez
stwarzanie mechanicznych powią-
zań między danym utworem literac-
kim a np. ceną zboża na rynku w
tym czasie, i lekceważenie wzaje-
mnego oddziaływania formy i
treści, przyczyniają się ci „socjo-
logiści” do wzmocnienia pozycji
formalistów.

Ta pozorna przeciwstawność, w
istocie zaś uzupełnianie się forma-
listów i wulgarnych socjologów
przejawia się najwyraźniej podczas
dyskusji na otwarcu Instytutu Li-
terackiego w Warszawie: kilku pro-
fesorów, dla których badanie lite-
ratury ogranicza się do analizy for-
malnej, ba! nawet filologicznej, ro-
zumiejąc jednak, że coś tam litera-
tura ma wspólnego ze zmianami
społecznymi, zaproponowało spra-
wiedliwy podział ról: niech ci zaj-
mują się socjologicznymi przemian-
ami, formalnym zaś sprawom
niech dadzą spokój.

Formalizm i wulgarny socjolo-
gizm uzupełniają się tak samo jak
w ruchu robotniczym prawicowe,
drobnomieszczańskie odchylenie u-
zupełnia ultralewicowość. Współ-
czesny nam klasyk marksizmu na
zapytanie, które z tych obu wypa-
czeń jest gorsze, odpowiadał: oba
są gorsze.

2) Marksizm uważa, że „estetyka
stanowi wyraz zależności pomiędzy
treścią i formą” (Laurent Casanova).
To znaczy, że metoda ta odrzuca
oddzielne traktowanie zagadnie-
nia formy od zagadnień treści, ide-
ologii. Bez względu na to, czy twórca
— artysta jest świadom tego, czy
nie, czy się z tych czy z innych
względów do tego przynajmniej — jego
dzieło jest wypadkową pewnej ide-
ologii, albo pewnych ideologii. Wo-
bec tego, że każde dzieło sztuki jest
zjawiskiem, w swej przyczynie i
skutku — społecznym, jest ono fak-
tem politycznym. Pisarze, którzy te-
go nie wiedzą, przypominają tylko
Jourdain’a, który nie wiedział, że
mówi prozą. A jednak mówił pro-
zą.

Niewątpliwie, w okresach rozwoju
literatury i sztuki, w społeczeń-
stwach, gdzie rola sztuki rośnie —
artyści zawsze świadomie przynaj-
mniej, i uznają swoją więź ideologiczną,
stara się ją pogłębić i ujawnić.
Wypieranie się ideologii ujawnia się,
jako oznaka słabości, upadku roli
sztuki, lub jej maskowania, jak Lord
Byron i Adam Mickiewicz, Wiktor
Hugo i Emil Zola, Lew Tołstoj i
Maksim Gorki nie bali się tzw.
„mentorstwa” ideologów i polity-
ków. Tylko w okresie, gdy ginący
świat spycha sztukę na śmietnik,
naiwni i słabiutki ludzie chcą się
ratować, odzegnując się od ide-
ologii. Śmieszna iluzja!

Rok temu, kilka godzin rozmawia-
łem z Pablo Picassom, jednym z naj-
większych współczesnych malarzy,
w jego pracowni w Paryżu. Picasso
pokazywał, wyjaśniał i bronił swojej
sztuki. Z głupia frant zapytałem:

„Ale pańska sztuka nie ma nic
wspólnego z polityką?”. Nie spo-
dziewałem się, że w moim rozmów-
cy tak zawrze krew hiszpańska.
„Jak to, ja nie robię polityki! Mau-
rice (Thorez) robi politykę w par-
lamencie, a ja na swoich płótnach!”
I nastąpił długi wykład o tym, jak
śmieszne jest w czasach, gdy — jak
mówił — „skóra świata jest odarta
i każde dotknięcie trafia w żywe
ciało” mówić o apolityczności. A gdy
się uspokoił, dodał z uśmiechem:
„Miedzy mną a Thorem jest
współzawodnictwo, kto jest lep-
szym politykiem?” Co prawda, nie
miałem najmniejszej wątpliwości,
ale tego nie powiedziałem.

Wobec tego, że estetyka rodzi się
ze współzależności formy i treści,
wobec tego, że uznajemy ich wzaje-
mnie oddziaływanie, wobec tego,
że niewątpliwie jest zjawisko opo-
zniania procesów ideologicznych, a
jeszcze bardziej niewątpliwa ko-
niecność swobodnego rozwoju form
artystycznych w ich wyrazie narow-
dowym — śmieszne są pozory rejt-
niańtek literatury, rzekomo bronią-
cych poziomu sztuki przed jego ob-
niżaczami. Te rejtaniatki proponu-
ją nawet laskawie stworzenie spe-
cjalnej literatury dla ludu, byleby
nie ruszać „poziomu”. Ta oferta nie
może być przyjęta, gdyż uważamy,
że literatura narodowa i literatura
ludowa jest nierozdzielna, uznając
zaś jedność formy i treści domaga-
my się, aby bogate ideologicznie
i politycznie literaturze pozostawić
wysoki poziom formalny.

Zarty na bok. Jestem głęboko
przekonany, że prawdziwym obroń-
cą poziomu literatury jest właśnie
marksizm. Tak, jak piękno plastycz-
ne architektury jest związane z
funkcjonalnym rozwiązaniem bu-
dynku, tak piękno dzieła literackie-
go jest uzależnione — obustronnie i
wzajemnie — od jego ideologicz-
nego ładunku. Należy przy tym roz-
różniać mechaniczne posługiwanie
się chwytami kultury artystycznej,
od prawdziwie twórczej wynalazczo-
ści...

*

Odłożyłem pióro, by przeczytać
raz jeszcze dotychczasowy wywód.
Szukam zakończenia. Należało by do-
dać to jeszcze, że nowoczesna este-
tyka nie rezygnuje nawet z własnej
analizy filologicznej: rozpatruje je-
zyk literacki, jako żywe, rozwijają-
ce się zjawisko, odnajduje w nim
np. nawrót mienia drobnomieszc-
zańskiego tegoż nowobogactwa,
ohydne świadectwa obcych słów i
dziwacznych nowotworów...

Przeglądam katolicki tygodnik
społeczny „Dziś i Jutro”. Jakże ja-
śniejsza i prostsza jest ta prasa ka-
tolicka od niejednego mętniaka gli-
storaczacego w publicystyce literac-
kiej. Oni również bronią „poziomu”,
i znajdując w utworach poszczególn-
nych pisarzy demokratycznych pew-
ne słowa, które wydają się im
nie polskie, atakują, sami zaś wy-
suwają na wieśsza narodowego
autora o najbardziej niechlujnym
języku literackim. Jakież to miłe
w swym cynizmie, nieprawda? I apoli-
tyczne!

W nrze 16 „Dziś i Jutro” znajduje
się artykuł z pośmiertnej spuścizny
Włodzimierza Pietrzaka pt. „Omdle-
nie powieści”. Artykuł naprawdę
zdumiewający jasnością postawy. I
najświetniejsze zobrazowanie do-
tychczasowych wywodów.

Rozpoczynając od zagadnienia
kryzysu klasycznej powieści na
przełomie wieków, Włodzimierz Pi-
etrzak słusznie łączy Prousta z ide-
ologią Bergsona i Nietzsche’a. Pisz-
on: „Jest to okres zniszczenia czasu.
Czas jest socjalną pamięcią, nie ty-
lko zwyczajem, ale i formą łączno-
ści kultur. Zniszczenie czasu stano-
wi najsilniejsze podkreślenie zerwa-
nia z przeszłością”. Zupełnie słusz-
nie, ale odwrót od czasu w filozofii
przełomu wieków charakteryzuje
ideologię schyłkową mieszczaństwa,
zrywającego z historycyzmem. Ka-
pitalizm, jak gdyby, „boi się czasu”,
idącego wbrew niemu. Giniący u-
stroj zawsze odwracał się od hi-
storii. Stąd nowa proza mieszczań-
ska zaczyna rozsądzać akcje w po-
wieści, usuwając ją poza czas i prze-
strzeń.

Ślusznym też łączy Pietrzak te
przemiany z pewnymi składnikami
w twórczości Dostojewskiego. Ale
dla Pietrzaka proza rosyjska kończy
się na Dostojewskim. Po Dostojew-
skim i w twórczości samego Dosto-
jewskiego rozwijają się przeciwie-
ne elementy inne. W Rosji narasta
ruch rewolucyjny, klasa rewolucyj-
na nie „niszczy czasu”, nie odwraca
się tyłem do historii, jej ideologia
jest oparta na teorii historycznego
rozwoju. Stąd nowa powieść rosyj-
ska jest zaprzeczeniem filozofii li-
teratury A. Wata, dla którego „lite-

ratura winna się pochylić, zamyślić
nad mijającym strumieniem zda-
rzeń”. Wielka literatura rosyjska
Lwa Tołstoj, Maksima Gorkiego,
Antona Czechowa, Aleksieja Tołsto-
ja i Michała Szolochowa — to pod-
murowanie czynnika czasu i prze-
strzeni, to powieść twórcza, wkra-
czająca w gąszcz zagadnień społecz-
nych, etycznych, filozoficznych i
tym samym politycznych.

Tego najtrwalszego dorobku kul-
tury europejskiej jakim jest rozwój
klasycznych form prozy rosyjskiej
XX wieku, ani Wł. Pietrzak, ani
jego otoczenie nie zna, gdyż — jak
twierdzi — istnieje „zasadnicza roz-
bieżność kultur Wschodu i Zach-
odu”.

Ideologia takiego „zasadniczego”
podziału kultur ma swe źródła wy-
bitnie polityczne. Zrodził ją nasam-
pród carat i podtrzymywali czar-
nosciniący rosyjscy w okresie gdy
Zachód niósł na Wschód powiew po-
stępu i rozszalał feudalizm rosyj-
ski, gdy się zaś role zmieniły, tę sa-
mą teorię o „zasadniczej rozbieżno-
ści kultur” przejęli czarnosciniący
europejczy, usiłując podtrzymać
przepaść między „wschodem” i „za-
chodem”.

Niemniej proste, jasne i śmiałe są
dalsze wywody Wł. Pietrzaka, znaj-
dujące ideologiczne źródła „omd-
lenia powieści” w filozofii Bergso-
na i Nietzsche’a: „Był to triumf pra-
gmatyzmu, triumf tych myśli, które
zamienione w czyn dają już nie wo-
lę mocy, lecz moc samą. Jeżeli ist-
nieje pogarda myśli dla czynu, to
filozofia czynu opiera się na pogar-
dzie dla myśli”...

„Czyn uwalnia od myślenia”...
Filozofia czynu, przeciwstawione-
go myśli legła u podstaw faszyzmu
europejskiego. Stąd się wstąpił do
skneblowania mas terorem hitle-
rowskim w imię jakiegoś nadprzy-
rodzonego pośmiertnictwa wodza na-
rodu niemieckiego, prowadziła do
Oświęcimia i Majdanka, do tragicz-
nej śmierci Jana Moderskiego i Włod-
zimierza Pietrzaka. Metafizyczny czyn
ponad myślą! zerwać z historycy-
zmem! czyn ponad czasem i prze-
strzenią. Jak ty to robisz, skąd ty to
masz? A równocześnie następują w
literaturze przemiany formalne,
„omdlenie powieści”, wyrzucenie
się akcji (czasu) bebecznomia psy-
chologiczna. Nie twierdzą, aby pro-
cesy, zachodzące w literaturze kra-
jów schyłkowego kapitalizmu były
jednokierunkowe, automatyczne. By-
najmniej. My jednak zamiast
linii podziału między kulturą
wschodu i zachodu, przyjmujemy
inną zasadniczą linię podziału, tę
między ideologią socjalizmu rewolu-
cyjnego i schyłkowego kapitalizmu.
Twierdzimy ponadto, że te ide-
ologie oddziaływują bardziej konse-
wentnie i bezpośrednio na sztukę,
aniżeli się najuczciwiej formal-
istom wydaje. Tylko, rzecz jasna, to
oddziaływanie odbywa się, drogą
przelamywania poprzez tradycje ar-
tystyczne i narodowe formy rozwo-
ju kultur, w myśl zasady współza-
leżności treści i formy.

Stojąc twardo na gruncie praw
historycznych rozwoju wszelkich
przejawów życia społecznego, a
wiedząc i tych twórczych kulturę, u-
jawiamy i demaskujemy samą łącz-
ność swojej ideologii z powieścią
realistyczną, umiejscowioną w cza-
sie i przestrzeni, powieścią, która
cierpie się tworzyć z rzeczywisto-
ści. Teorię „czynu bezzwrotnego,
lub myśli bezzwrotnego, naiwnym fi-
lozoficznie, bałamutnym roztrząsa-
ni m o metafizycznych czynach, prze-
ciwstawiamy naukową teorię jed-
ności czynu i myśli, czynnej myśli
i świadomego czynu, prowadzącego
do humanitaryzmu i prawdziwej
wolności.

*

Kerzystam z wielokierunkowości
„Odrodzenia”, pisma o szerokim wa-
charzu poglądów, ażeby sięgnąć
do źródeł stosunku ideologii i dzie-
ła sztuki. Niewątpliwie, rozlegną
się głosy przeciwstawne. Spory kul-
turalne w naszym kraju odbywają
się przecież z większą swobodą niż
w ostatnim kraju Posagu Wol-
ności.

Niemniej przeto, niech nasi
przeciwnicy pamiętają o tym, że
tłukąc mocno w czasie i przestrzeni
mamy żołnierskie poczucie odpo-
wiedzialności w okresie wielkiej walki
między światem omdlenia, mara-
zmu, mętniactwa i bezwładu — a
światem, który broni twórczej, op-
tymistycznej ideologii na odcinku
kultury. Z tej prostoty naszej żoł-
nierskiej postawy wynika nasza
przekonanie o zwycięstwie socja-
lizmu. Przekonanie, wzmacniające
nowymi faktami. Rzeczywistością.

Jerzy Borejsza

MIROSLAW KRLEŻA

ODSYŁAJĄ NAS DO AZJI

W imię zachodnio-europejskiej cywilizacji i w imię atlantyckiej kultury każą nam wrócić do Azji. Dlaczegoż to mamy wracać — i to właśnie do Azji? Otóż dlatego, że — jak powiadają — Azja dotarła do Nysy i Soczy, zaś nie leży wcale w interesie zachodnio-europejskiej cywilizacji, żeby granica Azji utrzymywała się na Soczy albo na Nysie.

Od przeszło dwunastu wieków otrzymujemy te uprzejme sugestie w imię zachodnio-europejskiej cywilizacji, która już w Akwizgranie i Paderbornie w IX wieku nie wiedziała, jak przeprowadzić tę zagadkową granicę między europejskim wschodem i zachodem. Trojaki wariant kongresu akwizgrańskiego 887 r. i demarkacja na linii Socza-Raszka-Uczka, pokrywała się dokładnie z wariantami paryskiego kongresu pokojowego 1919 i 1947 r. A więc na razie mamy wrócić nad Wołgę i zabrać ze sobą na Ural Pragę i Triest, Lublanę i Zagrzeb, Rijekę i Kraków, Bratysławę, Poznań i Warszawę? Gdybyśmy się pojawili przed Konstantynopolem w VI i VII w., to Rzym i Bizancjum w imię europejskiej cywilizacji kazali nam wrócić równie historycznie, jak w czasie San Stefano 1878, jak w r. 1912, lub dzisiaj. W XVIII i XIX w. chory z nad Bosforu był jedyną troską zachodnio-europejskich polityków-felcerów; wówczas to, podobnie jak dzisiaj, dla panów lordów pan lord Jelecin przedstawiał stuprocentową Europę zachodnią.

Te wysoko cywilizowane polecenia, abyśmy wrócili do Azji, dochodzą nas drogą radiową; nie należy przy tym zapominać, że owa magia BBC posługuje się wynalazkiem naszego Tesli. Biorąc więc logicznie, skoro nas już wysyła z powrotem do Azji, to powinniśmy nam pozwolić, abyśmy wszystkie te radiowe czarodziejstwa zabrali ze sobą jako azjatyckie dokumenty naszego braku kultury. Równocześnie grożą nam bombami atomowymi, a zapominają, że jednym z pierwszych zachodnio-europejskich atomistów był „czysty Azjata” dubrowczanin Boszkowicz, jak i o tym, że pani Curie-Skłodowska tak samo pożyła pewne zasługi przy udoskonaleniu azjatyckich odkryć. Pani Curie-Skłodowska pochodziła przecież z jednego z tych azjatyckich krajów, które odważyły się już w VI i VII w. dotrzeć do linii Szeceń-Nysa-Praga-Socza-Triest. Czytając nam wzniosłe lekcje w imię kultury atlantyckiej z odkrytych przez Kolumba zamorskich dali, kiedy pierwszy globus, który trzymali w ręce, sporządzony był przez geografa z Pragi, a jedną z pierwszych map Ameryki w 1512 r. narysował taki sam słowianin: Azjata: Jan Stolinicki. Głoszą nam idee wolnościowe z kraju, który wyswobodził się za czasów Tadeusza Kościuszki. W owych słynnych bitwach generał Kazimierz Pułaski nie był jedynym Słowianinem, który walczył o wolność Ameryki; pozostawił tam swoje kości. Padł jako pierwszy z tych, których miliony pomarli w Ameryce w służbie dolara po kopalniach i hutach. Dlaczegoż szczyt najwyższego łańcucha górskiego w Australii nosi imię Tadeusza Kościuszki? Bo Słowianin Strzelecki był jednym z tych geograficznych pionierów, którzy pierwsi między pierwszymi badali Australię.

Jeśli rzeczywiście istnieje jakiś kulturalno-histeryczny kamień graniczny dzielący średniowieczną cywilizację europejską od naszej dzisiejszej, to jest nim Kopernikowe dzieło „De revolutionibus orbium coelestium” z 1543 r. Więc co? Wracając do Azji, mamy sobie zabrać Kopernika i uniwersytet praski, Wawel i głągolicę i starosłowiańskie przekłady Pisma Świętego i Wulgatę św. Hieronima, naszego barbarzyńskiego krajana. Dalmatyńca, który bał się Słowian, podobnie jak dzisiaj drża przed nimi panowie Atlee i Bevin. Gdybyśmy wracając do Azji zabrali ze sobą to wszystko, co Słowianie dali zachodniej Europie w ciągu stuleci, to biedna Europa pozostałaby bez swoich współczesnych poglądów naukowych na system planetarny, bez pierwszego globusa, bez pierwszych map Ameryki, bez aparatów radiowych, bez atomistyki, bez całego szeregu kapitołińskich laureatów, którzy od Jana Panoniusza do Sarbiewskiego i dziś jeszcze stanowią międzynarodową sławę humanistycznej poezji całego świata. Na sto pięćdziesiąt lat przed Newtonem Gospodnetić odkrył tajemnicę spektrum, — gdyby zaś nie było „Historii Kościół” Flacjusza, to Watykan, który myśli powoli, do dnia dzisiejszego nie napisałby jeszcze swojej własnej historii, budowanej na przekór genialnemu protestanciemu dziełu Flacjusza. Południow-Słowianie tłumaczyli Pismo Święte pierwsi wśród narodów europejskich, a jeśli zachodnio-europejskie malarstwo rzeczywiście bierze swój początek od Giotta i Cimabuego, to jak jest z naszym malarstwem macedońskim, serbskim, południowo-słowiańskim i istryjskim? Czyż nasi malarze nie byli pionierami tego zachodnio-europejskiego malarstwa? Ale nie tyl-

Mirosław Krleża jest pisarzem dużej miary i jedną z najsilniejszych indywidualności literatury jugosłowiańskiej. Jego twórczość wszechstronna i obfita obejmuje kilkadziesiąt dramatów, szereg powieści (cykl „Glombajevi”), r. cwele, parę tomów liryki, studia o Rillem, Prouście, Shawie, Goyi, Grossie i wielu innych. W Polsce jest mało znany. W r. 1932 wystawiona była w Teatrze Polskim „Baronowa Lenbach”, przełożona przez Zofię Natkowską i Wiktora Bazieliha. W r. 1939 w „Bibliotece Jugosłowiańskiej” ukazał się tom jego nowel pt. „Chorwacki bóg Mars” w przekładzie Glucka i Siennickiej.

ko to! Gdy pisać się będzie historię zachodnio-europejskiej cywilizacji, stwierdzić w niej należy, że bogumilska Bośnia była refugium haereticorum (niejmsiem schronienia dla heretyków — przyp. red.) z Lombardii, południowej Francji i Portugalii na dwieście i trzysta lat przed europejską reformacją i że ta sama bogumilska

by, wiedeńskiego ambasadora Palmerstona, który nad Dunajem przeprowadził ostrą, legitymistyczną, azjatycką politykę w interesie dynastii Habsburgów. Palmerston w kwestii polskiej, słowiańskiej i austriackiej czterdziestego ósmego roku, lub Churchill w kwestii węgierskiej dziewięćset osiemnastego i dziewiętnastego roku byli czysty-



Szkice jugosłowiańskiego fresku z XII wieku

Bośnia była strategicznie politycznym obiektem całej serii zachodnio-europejskich wojen inkwizycyjnych i broniła wszystkich tych przeciwwatykańskich koncepcji, które jeszcze dzisiaj stanowią sławę anglikańskiej schizmy! A któż ośwodził Wiedeń od Turków w 1683 r.? Czyż dzwony wszystkich katedr europejskich były triumfalnie na cześć zwycięstwa nad Azją, czy też ku chwale Azji, witając zwycięstwo Jana Sobieskiego? Słaba pamięć i fałszowanie faktów historycznych jest główną cechą zachodnio-europejskiej cywilizacji od upadku Wiednia 1683 r. do upadku Berlina 1945 r. Ktoż położył fundament europejskiej reformacji? Bogumili i Hus. Ktoż wiodł węgierskie wojska rewolucyjne 1848 r.? Bem i Dembiński* — ku największej zgryzie pana Ponsona-

*) w oryginale mylnie podany Dąbrowski (przyp. tłum.).

mi stuprocentowymi Azjatami, jak jeszcze dzisiaj polityka Bevin nad Dunajem, gdy sofistycznie oczyszcza Dunaj od Azjatów w klasycznej imperialistycznym sensie. Mówi się: wszystko jest Azja, co nie jest nasze. Tymczasem już przeszło trzydzieści lat stawiamy sobie pytanie: czy rzeczywiście było by doszło do „cudu nad Marną” 1914 r., gdyby tego „cudu” nie opaciło swoim życiem w mazurskich błotach kilkaset tysięcy rosyjskich muzyków? Czy istnieje bardziej jasna i bardziej klasyczna formuła zachodnio-europejskiej cywilizacji niż ta, która reprezentuje intelektualno-rozwojową linię od Radiszczewa do dekabrystów i od dekabrystów poprzez Hercena, Bielińskiego, Czernyszewskiego do Plechanowa, Lenina i Stalina? I ile mielibyśmy choćby tylko fortepianów i filharmonicznych orkiestr, gdybyśmy się przenieśli z Europy z powrotem do Azji z naszym Chopinem.

K. I. GALCZYŃSKI

SŁUŻBA POLSCE

Na Parthenonie, na zachodnim fryzie
konie Fidasza;
a ja w autobusie, co z Zakopanego idzie,
rozmową smutki rozpraszam —

bo spójrzcie, jakie piękne oziminy!
będzie latoś chleba aż nadto.
Przy szoferze chłop czyta wiersze. Widać mu z miny
że te wiersze muszą być piękne jak lato.

Oczywiście do chłopu się zaraz przysiadam.
Lubię, wiecie, gadać z ludźmi, taką rozmowną pracę.
On pokazuje mi tom: Naturalnie: Pan Adam:
„Ballady i Romance”.

Dobra księga. Jak dąb wzrosła z ziemi.
I żołądkiem pod strzechy. W doniczki serc ładne.
Biedna księga. Błądziła. A my już adresujemy.
Bez błędzenia: listonosz i adres.

Służba Polsce? Wasz syn, mówicie, zapisał się?
Dumni jesteście. Brawo.
Naród to jest rodzina. Usprawnimy komunikację,
więcej szos tryśnie ku Tobie, Warszawo.

A w Warszawie Prezydent. Flaga na Belwederze.
Ambasadorzy z całego świata,
Raz przechodziłem w noc tam — i w sercu, wiecie, nagle szerzej,
jakby Belweder to był dom brata.

Zetwum? Fajni goście. Dąbczaki. Dąbrowszczaki.
Każy, wiecie, tak jasno spoziera,
jak pilot samolotu. Ano, już dziś kraj taki,
jak piosenka, jak rozkaz generała Waltera.

Co mówicie? że bocian chodzi sobie po polu?
W pojedynkę? I dobrze z tym jemu?
A ja wam mówię, wujku, że Kaster i Poluks
należeliby dziś też do Zetwumu.

A to wszystko dalszy ciąg. „Bohaterska praca na Aragonie”.)
Świat ku nam krzyknie „ratuj”, gdy zrozumie, że tonie.
Bo u nas jest Polska. Wisła. Wisłoch. Niezawisłość

Umarli? My ich wyprowadzimy jak konie —
(jak te na zachodnim fryzie, w Parthenonie)
i ublagamy ich, by cwałowali w przyszłość.

K. I. Galczyński

*) wyjątek z rozkazu gen. Waltera do Dąbrowszczaków. przyp. red.

Sztuka Jugosłowiańska w Muzeum Narodowym

W Muzeum Narodowym odbyła się ciekawa wystawa sztuki narodów Jugosławii obejmująca malarstwo, rysunek, grafikę i rzeźbę XIX i XX wieku.

Mimo pokażnej ilości eksponatów (ogólna liczba 350) wystawa ta nie przemęcza widza nadmiarem nowych wrażeń — przede wszystkim dzięki dużemu działowi retrospektywnemu, w którym raz po raz daje się odczuć pokrewieństwo z naszym malarstwem.

Sztuka jugosłowiańska kształtowana jest wyjątkowo bezpośrednio przez historię; w historii też wszystkich trzech narodów należy szukać wyłumaczenia różnorodności stylów malarstwa, istniejących równolegle w sztuce XIX oraz początkach XX wieku.

Wielką przysługę oddaje tu katalog wystawy, opatrzonej zarysem sztuki jugosłowiańskiej z uwzględnieniem rozwoju kulturalnego poszczególnych narodów (Serbowie, Słowacy, Chorwaci). Autor zarysu nie uniknął niestety przeładowania wstępu nazwiskami, w wielu wypadkach nie reprezentowanymi na wystawie, co — w połączeniu z niedostatecznym uwzględnieniem wyraźnych związków ze sztuką środkową i zachodnią — europejską, zaciemnia nieco całość. Sam natomiast katalog ułożony jest przejrzysto i już nazwy działów XX-go wieku, wskazujące na wydarzenia historyczne, raczej niż na zmiany kierunków w sztuce, są dowodem, jak mocno związana jest plastyka Jugosławii z życiem i walkami jej narodów.

Pierwsza połowa XIX wieku — to głównie portrety; najwybitniejsze w tym dziale są prace malarzy serbskich, m. in. zadziwiający jakością rzemiosła autoportret Katariny Ivanović (Szkoda, że przy nazwiskach długo żyjących artystów nie podano dat powstawania poszczególnych prac). Niektóre portrety mają charakter wybitnie narodowy dzięki cechom modeli, z którymi harmonizuje, podkreślając je zarazem, wpływ sztuki bizantyjskiej wyczuwalny w pewnych ściemnieniach i oszczędności gestu.

Okresy romantyzmu i realizmu akademickiego, trwające do końca XIX wieku, pozwalają najlepiej zaobserwować zjawisko współistnienia kilku epok sztuki na przestrzeni jednego 50-lecia. Obok portretów i pejzaży, opartych o zdobycze baroku, mamy np. obrazy Subića (Stowienia) typowego przedstawiciela pleinairu. Równocześnie, jak w początkach XX-go wieku, powstają ogromne, teatralno-reprezentacyjne płótna Bukovaca (Chorwacja) spójnione w stosunku do zachodnio-europejskiej sztuki niemal o stulecie. W tym samym czasie serbski malarz, Jovanović, — spokrewniony artystycznie z naszym J. Chelmońskim w pierwszym okresie jego twórczości, — stwarza soczyste malowane obrazy o tematyce ludowej, która coraz częściej pociąga malarzy urokiem swego kolorytu. W tych samych wreszcie latach tworzą tak wybitni przedstawiciele t. zw. szkoły monachijskiej, jak Masić (Chorwacja), Vukanović (Serbia), Azbe (Słowenia), lub przypominające nasze go K. Krzyżanowskiego doskonała malarka słoweńska Kobilcova, prekursora secesji Jugosławii.

Zarówno impresjonizm, jak secesja i neopresjonizm reprezentowane są na wystawie sumiennymi i kulturalnymi pracami, przy czym, oprócz twórczyni serbskiego impresjonizmu, N. Petrović, wyróżniają się w tym okresie głównie malarze chorwaccy. Mamy tu kilka przykładów trafnej satyry społecznej i wnikliwej charakterystyki modeli w pracach Kraljevića i Racića.

Impresjonizm oraz neopresjonizm sprzyjają wydobyciu egzotycznych dla naszego, widza elementów pejzażu Jugosławii. Kilkakrotnie powtarzają się gamy gorących złości, uroczę i dekoracyjne (np. „Dziwaczyna z harmonią” Kosa, pejzaże Konjevića). W paru wypadkach pejzaż daje malarzom możliwość szaleństw kolorystycznych, które pod mniej jaryzującym słońcem byłyby po prostu ja-

skrawizną, są zaś śmiały i udalymi pracami. Na ogół jednak malarstwo jugosłowiańskie jest znacznie powściągliwsze, niż można by oczekiwać przy tak zbytkownych warunkach pejzażowych i zdradza, w całym swym przebiegu skłonności do dość surowego realizmu. Ta ostatnia cecha dotyczy również pozostałych gałęzi sztuki narodów Jugosławii. Tam zwłaszcza, gdzie tematyka jest patriotyczna lub społeczna kolor i forma zostają jej bezapelacyjnie podporządkowane.

Tak ma się rzecz np. z wielkim płótnem Deoniego (Chorwacja) pt. „Partyzanci forsują rzekę”; obraz porywający tematycznie, poprawny rysunkowo, wiele by zyskał na wprowadzeniu wartości kolorystycznych. Wielkie zalety malarstwa ma natomiast pastel Pricy (Chorwacja) pt. „Pogrzeb pioniera” i rysunki jego w dziale grafiki, zwłaszcza „Rozstrzelanie”, wstrząsające siłą i głębią wyrazu oraz odznaczające się doskonałością rysunku postaci pomimo bardzo małych rozmiarów. Każda z rozstrzeliwanych osób scharakteryzowana jest mocno i straszna w swym realizmie. Wojna znalazła niesłychanie silny odzwidk w sztuce wszystkich narodów Jugosławii. Szczególnie w dziale grafiki niezliczone prace obejmują tematyką wszystkie dosłownie dziedziny życia na froncie oraz z dzieciną bezpośrednią opłakującą męczeństwo społeczeństwa pod okupacją. Najmłodsze pokolenie dość skąpo reprezentowane jest na wystawie. Podobno wielu znakomicie zapowiadających się artystów zginęło w czasie wojny. Inni przygotowują się, by sprostać dużej i niełatwej roli, jaką przeznacza im nowa rzeczywistość Jugosławii.

W dziale rzeźby królują Mestrovici, największy z żyjących rzeźbiarzy Europy. Uważany jest za twórcę narodowego stylu Chorwacji i pomimo wpływów Rodina zbyt może sugestywny by się od nich w całości wyzwoić, wprowadza do swej rzeźby pierwiastki zupełnie oryginalne. To połączenie wysokiej dyscypliny twórczej z ogromnym temperamentem daje u Mestrovicia niezrównane rezultaty. Jego „Matka” — (ulubiony temat uczuciowych Jugosłowian powtarzający się ogółem na wystawie 10 razy, zawsze bardzo sugestywnie) — stanowi doskonały przykład tej harmonijnej dwójki. Przeglądnie zamknięta forma, komponująca się bardzo spokojnie dzięki monotonnemu rytmowi fałd ludowego stroju zdradza bogactwo swej wewnętrznej treści dzięki drobnym — i bynajmniej nie rozbijającym rzeźbiarsko całości — szczegółom, powiek, wyciekający spokój zgrubiałych w pracy rąk — wszystko to składa się na całość o wielkiej głębi wyrazu i silnym napięciu uczuciowym. A przecież łatwo przy temacie takim wpaść w powierzchowną rysunkowość i zepsuć rzeźbiarską stronę dzieła nadmiarem pietyzmu dla szczegółów, czego nie unikną współczesni Mestroviciowi Franges (Chorwacja).

Rzeźby portretowe są na ogół dobre, lecz nie przekraczają przeważnie poziomu sumiennych wykonanych prac. Tematyka natomiast społeczna i wojenna wydobyla z Jugosłowian i w tej dziedzinie sztuki niezwykle pasję, entuzjazm i uparte borykanie się z formą.

Daje to bardzo różnorodne artystyczne rezultaty, o ile bowiem reprezentacyjny rzeźbiarz Jugosławii, Augustinčić (Chorwacja) rozwiązuje swe większe prace statystycznie i raczej monumentalnie, na silną zaś dynamikę ruchu pozwala sobie w drobnych rzeźbach, o tyle np. Radans (Chorwacja) wypróbuje bardzo realistyczne i nadzwyczaj dla oka męczące skrety tułowia w „Rannym”, na więcej zaś spokoju zdobywa się w dobrym „Grenadierze” i małych pracach.

Należy powinszować sztuce Jugosławii ogromnego dorobku lat wojennych, oraz niezwykłej wrażliwości jej artystów. Wystawę oпуска się pod wrażeniem ciekawej, bogatej i urozmaiconej całości.

A. Z. L.



Augustinčić: Królewicz Marko, brąz

Mirosław Krleża

Z chorwackiego przełożył

W. Bazieliha.

MIECZYSLAW JASTRUN

XIEŻNICZKA IZRAELSKA*)

„A gdy się król Dawid zestarzał i zaszedł w lata choć go odziewano szatami, przecie się zagrzać nie mógł.

2. I rzekli mu studzy jego: Niech poszukają królowi, panu naszemu młodej prnienki, która by stała przed królem, i opatrowała go, a spytając na łonie jego, żeby zagrzewała króla, pana naszego.

3. Szukali tedy panienki pięknej po wszystkich granicach Izraelskich, i znaleźli Abisag Sunamitkę, a przywiedli ją do króla.

Pani Karolina Towiańska przestała czytać i spojrziała na męża, który patrzył swoimi przenikającym wzrokiem na młodą dziewczynę ubraną w czarny strój; stała w postawie, pełnej uszanowania, przed mistrzem Oczy miała przymkniętą w tej chwili. Towiański wstał, odwrócił się, podszedł do szafy z książkami, i zaczął czegoś szukać. Wtedy Xawera podniosła oczy. Spoczęły na pani Karolinie, czarne, wielkie, naprawdę fascynujące oczy „Xieźniczki Izraelskiej”. „Z siostrą Xawerą, kiedy mówiłem — wyznał później Towiański — to miała oczy zakryte: inaczej z nią widzieć się nie mogłem”.

Spojrzał na nią a ona znów opuściła powieki i na ustach jej małych i jaskrawo czerwonych pojawił się ledwie dostrzegalny uśmiech.

— Wezwałem Cię, abyś zdała sprawę z postępów brata Adama. Chłód, w którym żyje, nie da się wypędzić ciepłem zewnętrznym. On otula się płaszczem siedząc w pokoju, ale ciepła nie ma w nim dotąd. Kazałem Karolinie przeczytać ustęp z Księgi Królewskiej, abyś pojęła lepiej. Nie podnoś oczu Abisag.

Xawera powiedziała ręką po gęstym czarnym hacie, przez który przeświecała zaledwie białosc jej ciała, jak ślepa, która ma wzrok w dotyku, uśmiech zniknął z jej warg, skłoniła głowę i powiedziała prawie szeptem:

— Zamieszkałam u brata Adama jestem nauczycielką dzieci państwa Mickiewiczów. Chcę utrzymać ton, ale Celina brzdzi. Muszę pilnować nie tylko dzieci. Ten dom ma szczerlino. Proszę Cię, mistrzu, o zwolnienie, nie czuję sił po temu.

Towiański porwał się z krzesła. Podszedł do dziewczyny, która nie podniosła na niego oczu. Stał przed nią i patrzył w jej zamkniętą twarz swoimi oczami. Twarz jej mieniła się pod siłą jego wzroku, który czuł na sobie. Wydawało się, że gdyby dziewczyna teraz podniosła powieki, nie wytrzymałaby uderzenia jego oczu. Nie był wyższy od niej, krępy, podobny z twarzy do Napoleona, do którego podobieństwo naturalne zwiększało zczesany na czoło kosmyk włosów. Twarz ta była zimna, stanowcza, oczy przyzwyczajone do wydawania rozkazów.

Pani Towiańska, która nie zdejmowała wzroku z twarzy mistrza i męża, wstała w tej chwili również i zbliżyła się do siostry Xawery.

— Ow żada medalika od Xawery. Inny jej uśmiechu obawiam się niepokojów w Kole.

Mówiła te słowa z wielką powagą, jakby szło o Bóg wie jak ważną sprawę, głosem miłym i opanowanym. Była to ładna jeszcze kobieta, ubrana z dużą starannością, lecz nieco ekscentrycznie. Towiański odsunął ją brutalnie i kazał wyjść. Nie powiedziała ani jednego słowa, ale zbyt energicznie zamknęła za sobą drzwi sąsiedniego pokoju. Przechodząc potrząsała rękawem pióro gese, tkwiące w płytce kałamarzu na biurku, pióro wypadło i poplamilo biały arkusz.

— Żadam od Ciebie — Towiański podniósł głos i mówił, krzyżając prawie prosto w twarz Pięknej — żadam od Ciebie, abyś pomogła bratu Adamowi. Woła o ratunek, przebywa w chłodzie i ciemności. Ty jedna możesz dać mu ratunek. Powiedziałem już: „leniwo usługi sprawie pierwszy powołanie”. Przymam Ci służby bratu Adamowi i siostrze Celinie — Karolinie i Annę. Muszą pokazać Ci jak w najdrobniejszych szczegółach trzymać ton Chrystusowy, przy igle i rondlu, na każdym kroku. Nie może być szczerliwy w tym domu, przez które wpadają podobne do nie-toperyzy, duchy nocne. Czy mnie rozumiesz, Xawero?

— Rozumiem, ale sił nie czuję.

— Musisz. Jedno dotknąć furii zmiażdży Cię. Wiesz o tym.

— Nie groź mi, jęku do Pana nie wydobędzie przemocą z niego. On się zestarzał. Martwy jest.

— Podniesiesz króla Dawida z łoża jego, blask Twoich oczu ogrzeje go, młodość wejdzie w żyły jego.

— Uczynię, jak każeś. Byłem odnalazła w sobie ton.

— Czy już przestajesz z nim Abisag?

— Nie pytaj o to.

— Żadam od Ciebie odpowiedzi.

Xawero.

— Nie teraz nie teraz. Błagam Cię. Pozwól mi odpocząć.

— Z niepokojem myślę o Tobie. Nie wolno Ci ulegać własnej słabości. Przypomnij, czego uczyłem Cię w Wilnie jeszcze, przypomnij, księżniczko od pokory, od upoko-

żenia się zupełnego zacząć musisz, zacząć na nowo.

— Cieszko mi.

— Czynisz jak ten, co mając drewna i zapalki, mieszek i wszystko, co tylko potrzeba do zapalenia ognia, kładzie drewna w błocie i chce tym ogniem zapalić. Będę się modlił o łaskę Bożą dla Ciebie.

— Dziękuję Ci mistrzu.

— Pamiętaj, Xawero, masz być jak drwa suche, z tych drew musi buchnąć ogień na niego.

— Czuje wzrok Twój na sobie, czuję, że wzrok ten wlewa nowe siły we mnie. Pozwól mi podnieść oczy, mistrzu.

— Możesz otworzyć oczy, siostrze Xawero.

Podniosła powieki i ukazała oczy wielkie, czarne, błyszczące. O tych oczach księżniczki Izraelskiej pisywał według świadectwa współczesnych arkusze listy Andrzej Towiański mistrz i prorok Sprawy. Teraz zbliżył się do niej jeszcze bardziej, wziął ją delikatnie w ramiona i pocałował w usta. Był to pocałunek zbyt uroczysty, żeby go było można uznać za pocałunek kochanka, i zbyt swobodny i gorący, niżby to z roli mistrza i proroka wypadało.

„Xawera mi jest wielką pomocą” — pisała pani Celina Mickiewiczowa do siostry Heleny — ale nade wszystko zmiana w życiu i w gustach zniewoliła mnie do tego, żeby szukać szczęścia tam gdzie ono jest istotnie, a nie tam, za czym świat się ubiega”.

Pisała tak matka kilkorga dzieci, w dniach, gdy nauczycielka i śpiewaczka z Wilna, była już nie tylko nauczycielką dzieci, ale również przyjaciółką domu. Trafila do tego ubożego domu w Paryżu i dzięki szczególnemu zbiegowi okoliczności przyjechała została od razu jak bliska, najbliższa osoba. Nawet ogromny wpływ Towiańskiego na pana tego domu nie mógłby, po ludzku rzecz biorąc, wywołać tak szybkiej decyzji wprowadzenia pod jego dach nieznanej śpiewaczki wileńskiej.

Panna Xawera Deybel zaczęła była niedługo przed wyjazdem swoim do Paryża udzielać lekcji śpiewu Zosi Puttkamerównie, córcece Maryli**). Przywiozła ze sobą do Paryża wspomnienie dworu w Bolcienickich i Ostrej Bramy w Wilnie. Przywiozła ze sobą wspomnienie Maryli, która była w tej chwili czterdziestoletnią kobietą. Ale w tym przywiezionym do Paryża wspomnieniu odżyła w pamięci Mickiewicza jako młoda dziewczyna. Ta która wspomnienie nie przywiozła, była młoda i piękna, i coś ze swej urody i młodości przeniosła na zapomnianą tak głęboko, że łatwo było teraz tamtą nieistniejącą dziewczynę obdarzyć twarzą innej, przybyszącej z ojczyzny jego młodości.

Poczuł powrotną falę młodości. Wielką radość z urodzenia żony, do której był głęboko przywiązany, której obecność była mu konieczna do dobrego samopoczucia i tak naturalna, że niemal nie zauważał jej, jak nikt nie zauważa powietrza, którym oddycha, ta wielka radość była tak pojemna, że w tej chwili mieściła w sobie bez żadnej sprzeczności radość z przybycia nieznanej dalekiej, która wkrótce stała się znajomą i bliską.

Mistyczna wiara w prorocтва Towiańskiego nie przeczyła tej radości, przeciwnie, dawała jej uzasadnienie wyższej natury, tłumaczyła najwzajemniejsze ludzkie uczucia na mowę świata duchów, z którym był on związany tak silnie od lat wileńskich, którego obecność czuł w chwilach szczególnego wznieśienia myśli. Był dzieckiem swojej epoki, czuł na jej prądy zmienne i burzliwe na jej skłonność do przenoszenia spraw życia umysłowego w sferę instynktów, do myślu, subtelnej gry mało uświadomionych odruchów. Dzielił ze swymi współczesnymi egzaltację nadmierną i gotowość do rozwiązań uczucia. Jeżeli mówił o tym co czuje, mówił głośno, jak Byron, jak Schiller bez niedopowiedzeń, nie tłumil głosu, przeciwnie, rozżarzał każdą myśl do białości, słowa napieniał po brzegi uniesieniem, wierzył bowiem w jedną wartość poznawczą uczucia.

I teraz, dnia 15 sierpnia 1841 roku pisać do Bohdana Zaleskiego przebywającego w Beaune, uderza w ton tak radosny, że na próżno byśmy dosłuchiwali się w całej jego korespondencji równie donośnego głosu. Jakież podźwięki „Pieśni nad pieśniami” raczej niż „Fsalmod” Dawda blakają się w słowach listu i w załączonym wierszu: „Słowiczko mój, a leć a piej”. „Spiesz zaraz, zaraz, do nas — pisze poeta do przyjaciela — abyś serce twoje pocieszył rozradował, okwiecił, ozienił. U mnie w domu kwiaty i wiosna i w sercu i w duchu”. Mimo, że to był sierpień wiosna zamieszkała w domu Mickiewiczów. Jednym z kwiatów był wiosny była młoda Litwinka, która przybyła z tamtych kwitnących stron, przynosząc wieść o kraju nadniemeńskim i o zapomnianej, a przecież pamiętanej.

Śpiewaczka wileńska zrezygnowała, zdaje się z kariery w wiel-

kim świecie po przybyciu do Paryża. Zrezygnowała być może dlatego, że wciągnięta została w sprawę mistrza Andrzeja tu na obczyźnie, w zaraźliwym powietrzu emigracji, o wiele silniej niż to mogło działać się w Wilnie.

Jej rola nauczycielki w domu Mickiewiczów skończyła się wkrótce. Ta, którą Towiański nazywał księżniczką Izraelską inne miała w tym domu cele do spełnienia. Prawdopodobnie Mickiewicz brał z początku na serio jej rolę wychowawczyni i nauczycielki. Troska o dzieci choć wychowanie ich pojmował bardzo swoiście przebiegał nieraz przez słowa jego listów i rozmów, które współcześnie zapisali. Dzieci rosły, wymagały większej i czujniejszej opieki niż ta, którą mogła otoczyć je chora, żyjąca od czasu ostatniego napadu obłędu w stałym półzamroczeniu Celina. Mała Misia, ukochane dziecko, Celiny jest już dziewczynką, już brzdąkać zaczyna na fortepianie i chodzi do miasta po tytuł dla ojca, Oleś ma



Adam Mickiewicz

rys. E. Dejacotte

już zębki. Władzio przestał chorować, jest teraz zdrowym dzieckiem. Helenkę kocha najbardziej ojciec, mówi o niej że jest „prostoduszną i dobrą, wesołą i otwartą... Tylko szkoda, że leniwa a pieszczota rodzicielską w lenistwie za długo kwitnie i nawet nie chce uczyć się mówić”.

Leonard Niedzwiedzki zanotował jedną ze scen rodzinnych w domu państwa Mickiewiczów niezmiernie charakterystyczną „...między dziećmi swymi — pisze Niedzwiedzki o Mickiewicz — nie lubi najstarszej córki dlatego, że okazuje rozum wysoki nad jej lata, a pasjonuje się nad najmłodszą, w tej chwili głupciutką, bo jeszcze gadać nie może”.

— Nieprawda, że to czysta Słowianka? — rzekł obracając się do Zaleskiego. Nieprawda? że jest innej rasy niż ta dwójka? (pokazując na starsze dzieci). I nie odbierając odpowiedzi rzekł po raz drugi: — Nieprawda że to innej rasy?”

Na to Niedzwiedzki zwracając się do Celiny Mickiewiczowej rzekł:

„Tego mówić nie można! A ona dodaje. „Nie wolno!”

Niedzwiedzki poparty w przekonaniu swoim słowami pani Celiny i osmielony jawną niesprawiedliwością i niczym nieuzasadnioną pewnością sądu poety, powtórzył głośniej:

„Tego mówić nie można i nie wolno!”

Mickiewicz nie uniósł się tym razem i nie kazał gościowi iść precz, jak to zdarzało się czasem, nie znosił bowiem przeciwnego zdania w rzeczach, o których służności i prawdzie nie wątpił. Spojrzał tylko surowo na żonę, przypisywał jej bowiem zupełną nieumiejętność wychowywania dzieci.

Odkąd Xawera zamieszkała w domu Mickiewiczów, w domu wygnańców żyjących teraz w stanie ciągłego podniecenia i sztucznego napięcia, odkąd stała się osobą główną, dzięki urodzie swojej, temperamentowi i niekłamaniu oddanemu Sprawie, od chwili tej pożył się małżeńskie tych dwojga ludzi, od początku niedoskonałe stawało się coraz bardziej dramatyczne. Dramat ten jest skomplikowany i niemożliwy do wyjaśnienia bez przyjęcia przesłanek na których się opiera i którymi się w jakimś stopniu tłumaczy. Ale intryga jest tu nadzwyczaj złożona, kilka spraw i akcji krzyżuje się w przebiegu wypadków, psychologia osób, wyrażonych z normalnego pojmowania i rzeczy, oddala się w miarę zbliżania się do ostatniego aktu coraz bardziej od norm znanych, które można wyłożyć w ramach zwykłych stosunków między ludźmi. Do dramatu głównych bohaterów dołączają się osoby postronne ale związane z rodziną wezłami wyznawców mistrza Andrzeja. Brat Zan w zapomnieniu o sprawach Koła, oświadcza się Xawerze, a ona odrzuca go nie tak, jak odrzuca mężczyznę kobietę, lecz w imię tych spraw odległych, bałamutnych i niepojętych dla zwykłych śmiertelników. Albo może Sprawa staje się dla niej zasłona, którą raz odgracza się mimo woli od tego, co jest jej niemiłe, innym

razem Sprawa opuszcza się jak zasłona nad łóżkiem kochanków. W sporach mistycznych między bratem Sewerynem a Xawerą nie wiadomo, jaką rolę gra Sprawa, jaką pożądaną miłosne.

Celina widzi ten cały splot namiętności i niezawinionej hipokryzji, widzi w tym kredowym kole, zakreślonym ręką złego czarodzieja, ludzi młotających się między lękiem, świętością i nienawiścią. Wyszła na światło dzienne ze swej nocy, z choroby, w której straciła rachubę czasu i jasny obraz twarzy ludzkich, co ją otaczały. Ale ten dzień stał się znów wkrótce podobny do nocy. W stanie, w którym przytomność nie zatrymowała jeszcze nad zamroczeniem, przyjęła naukę Mistrza; tym łatwiej to jej przyszło, że już od dawna szukała szczęścia nie tam, gdzie go ludzie szukają zazwyczaj, lecz tam, gdzie ono jest istotnie. Powtarzała jak echo słowa męża, który je kiedyś wypowiedział: — „tam gdzie ono jest

na dzień miejsca qbcej dziewczynie, pięknej wychowawczyni jej dzieci. Czula jak mieszkankę, w którym dotychczas było jej dobrze i przestronno, staje się coraz ciśniejsze i coraz bardziej nieprzytulne. Byli wokół niej przyjaciele, bracia, towianczycy, a jednak otaczała ją samotność.

„Miałem długą i ważną rozmowę z siostrą Mickiewiczową — zanotował Seweryn Goszczyński” pod datą 23 sierpnia 1843 r. — Z jej strony był rodzaj spowiedzi. Wyznała, że dopiero po usłyszeniu ostatniego pisma Mistrza uczula i przyjęła Sprawę, i jak dotąd nie miała odwagi i siły mówić w Sprawie: jak dotąd, nie znała tonu, który w domu jako gospodyn domu trzymać winna. Nie tała dysharmonii, jaka była dotąd między nią a siostrą Deybel, której duchową nad sobą wyższość wyznaje. W ostatnich czasach obie tym zawiniły, że nie odbyły pracy przepisanej przez siostrę Annę. W całej rozmowie czulem wielką pokorę i silne postanowienie nad osiągnięciem zupełnej czystości duchowej”.

Biedna! Zaledwie wyszła z obłędu, zaledwie przejrzała nieco, gdyż od czasu pierwszego napadu nie widziała już nigdy jasno, pogrążona w cichej melancholii, przerywanej jedynie krzykiem, gdy męczyły ją sny, znalazła się w tym kole piekielnym ustawicznych udręk, rywalizacji, dążenia do czystości duchowej, które nie pozwalało jej nawet odczuwać zwykłej ludzkiej nienawiści, nie pozwalało na wybuch słusznego gniewu. Trawiła się w tych walkach wewnętrznych, daremnych i beużytecznych. Jej oczy stały się jeszcze większe, bardziej przezroczyste i jakby stale za zasłoną lez. Panna Deybel nie ograniczyła się do roli nauczycielki i wychowawczyni dzieci, nie porzuciła również na wpływie na otoczenie domowe. Była najbardziej czynną i najbardziej fanatyczną siostrą w Kole. Organizowała kobiety należące do Koła, stała na czele tych siostr, które podczas prelekcji Mickiewicza w Collège de France demonstrowały w imię „wolniści ducha” plakiwały, załamywały ręce, szarpały włosy, jak płaczką na pogrzebach żydowskich, ku zdumieniu obecnych na wykładach Francuzów, którym tłumaczono te wybuchy hysterii podobieństwem do egzaltacji pierwszych chrześcijan.

Były chwile, kiedy Celina zaczynała tęsknić do dawnych lat przed swą chorobą, do lat, które widziała jak przez mgłę; dno nieszczęścia obniżało się, czuła, że traci równowagę, szczęście które miała znaleźć w praktykach mistycznych nie było dla niej. Robiła sobie z tego powodu wyrzuty, ale raz po raz wracała do myśli o zwykłym spokojnym życiu we dwoje.

W jakiś wieczór, było to bodaj 12 lipca 1844 roku, podczas wizyty Rosjanina Czyżowa w domu Mickiewiczów, Xawera śpiewała głosem czystym i pięknym. Celina znała dobrze ten głos, choć Xawera niechętnie śpiewała, i zawsze trzeba ją było bardzo prosić. Śpiewała sielankę Karpińskiego, której melodia urzekała Mickiewicza, której pozostał wierny, bo przypominała mu młodość. Siedział w tej chwili z przymkniętymi oczami, blady, a że ostatnimi czasy utył nieco, twarz jego miała w sobie coś nieharmonijnego, jakiś rys obcy. Bujne siwe włosy nadawały jej wyraz szczególny. Twarz Xawery mieniła się, gdy tak stojąc w środku pokoju, śpiewała; była piękna, pomimo że gwałtowny ruch mięśni, zmienne kształt ust, które otwierała szeroko lub zwężała nadmiernie, niekiedy zaskalały ją na chwilę. Kiedy skończyła, Czyżów uprosił panią Celinę, by zagrała polskiego mazurka. Celina dawno już nie grała, lecz gdy tylko dotknęła koniuszczkami palców klawiszy, poczuła przypływ siły i radosnego upojenia. Wydawało się jej, że cień Marii Szymanowskiej, cień matki jest z nią i kieruje uderzeniami jej palców. Miała przez moment złudzenie, że szczęście wraca w ten posępny dom, ale spojrzawszy na Xawerę urwała nagle i opuściła ręce.

1 kwietnia 1845 roku pisał Mickiewicz do Towiańskiego: „Xawera szczęśliwie wyszła z matu. Jest u mnie znowu i w lepszym stanie niż kiedy. Wszakże to nastąpiło po długich walkach z wielką z mojej strony stratą siły i uszczerbkiem zdrowia. Ja od początku czulem Xawerę w złym stanie. Ferdynand mnie o to obwiniał, posły za tym wielkie zamieszanie. Seweryn w chwili łaski i mocy rozbił wieży, których czulem ciężar na Xawerze. Ona mi się wydała po przyjeździe w tym stanie, w jakim była żona moja przed chorobą. Dzięki Bogu, że się skończyło”.

14 lipca tegoż roku: „Xawera jest w Nanterre. Przed wyjazdem zostawiłem ją w lepszym niby porozumieniu z Celiną, wszakże powiedziałem, że jeśli przyjdzie między nimi do wielkich zatargów, w takim razie Xawera lepiej zrobi, oddalając się z domu aż do mego przyjaciół. Tak się też stało. Karol widział zirytowana, dostrzegł, że dzieci krzywdziła i sama zaniebdywała się, chciał ją na-

wet sam z domu mego oddalić. Xawera przyznawała się do win, przyznała się, że dzieci molić nie lubi, że wiele kłamała, że nawet przed Mistrzem prawdy całej nie powiedziała. Przyrzekła poprawę, starała się w ostatnich dniach bytu łamać siebie, ale wtenczas właśnie Xawery irytacja doszła do najwyższego stopnia i brat Karol nie mógł więcej z Xawerą stosunku bratniego i urzędowego zachować. To słyszałem od Karola i mam za prawdę, Xawera skarży się, że ją nadto gnębiono. Xawery jeszcze nie widziałem. Mam nadzieję, że to zło da się zważyć. Celinę znalazłem znacznie lepiej i pogodniejszą i nieco czulej usposobioną...”

O braciach Francuzach słyszę od wszystkich. Spór naszych kobiet był dla nich pokusą, bo Xawerę i do nich irytację swoją zanosiła. Siostra Alix zawsze wielką w duchu i w działaniu niespracowana. Tak o niej słyszę, jesczem jej nie widział. Była ona tu szczególną opiekunką Celiny, i Celina bardzo ku niej skłoniła. I ledwie, że nie powiem, wdzięczna. Celina powiada, że Xawera i ja i Michałowa ciągle na mnie podburzała, dowodząc, że trzeba, aby kto inny z braci był zastępcą Mistrza, że są bracia do tego sposobniejsi, etc. etc. Czy to prawda, nie wiemy”.

Xawera po powrocie do domu Mickiewiczów, z którego wyprowadziła się po jakiejś gwałtownej scenie z Celiną, weszła od razu w życie, które porzuciła, zwyczajnie i z prostotą, jakby nic się nie wydarzyło. Dzieci powitały ją z radością. Wczesna wiosna obryzmiała falą powietrza wdierała się przez otwarte okna do obszernego mieszkania państwa Mickiewiczów. Misia napelniała śmiechem dom, zbiegając ze schodów wewnętrznych mieszkania do dolnego pokoju. Xawera przywiązana była bardziej do dziewczynek, zwłaszcza do Helenki. Mówiła właśnie o tym siostrze Aliks, która słuchała jej uważnie i w zamyśleniu, nie opuszczając jej twarzy.

— Przeszłam dużo, zanim zdecydowałam się powrócić tutaj, wzgląd na dzieci, zdaje się, skłonił mnie do powrotu. Tu nie było mi lekko. Zresztą nie ukrywałam przed nikim, byłam winna. Widział, ona jest biedna, bardzo biedna. Jeśli nawet wolałaby obchodzić się bez mojej pomocy, nie może się do tej myśli przyznać przed samą sobą. Chciałabym wszystko naprawić i kochać dzieci, które mi powierzono.

— Byłaś winna, ale nie tylko ty byłaś winna.

— Tak, nie tylko ja, ale muszę wziąć na siebie całą winę. Tego żąda ode mnie Andrzej, ale nawet gdyby nie żądał, nie mogę inaczej. Ona jest biedna. Kiedy przyjechałam tu z Litwy, była jeszcze w tak okropnym stanie, to czasem się powtarza. Ja rozumiem jej stan, sama przed wyprowadzką stał byłam także nieszczęśliwa, niezupełnie przytomna i świadoma tego, co robię. Szłam za jakimś znakami, które zjawiały mi się nagle, jak światła, najczęściej we śnie.

— We śnie widziałam cię raz, Xawero, bładą, z rozwianymi włosami, oczy twoje miały tak blask, że patrzeć nie mogłam prosto w twarz twoją Księżniczko!

— Nie mów tak, Aliks, nie oskarżaj mnie mimo woli, nie chcę, nie chcę nic, prócz dobra. Nie jestem pyszna. Kiedy przybyłam tu z Wilna, Paryż śmiał się do mnie, upał mnie do tego stopnia ruch uliczny, widok pięknych par, blyszczących wystaw i ekwipaży, że nie mogłam długo złapać oddechu. Chodziłam lekko, na wysokich korkach, nie wiedząc że stąkam nad przepaścią. Jakas struna niewidzialna była napięta we mnie do granicy, od której zaczyna się szaleństwo. Struna pękła. Teraz widzę, że to Sodoma i Gomora.

— Księżniczko!

— Nie żartuj ze mnie, Aliks, jestem biedna. Jestem jedną z biednych siostr, które odziewają się w płótno szare i włosy przysypują popiołem. Nie chcę innej radości, prócz radości, która wynika z dobrych uczynków. Byłam wykleta i niepokojona przez złe widzenia, to przeszło. Chcę być dobra dla tych dzieci i dla Celiny.

— Mówiono wiele złego o tobie, Wiesz, jak jestem surowa, ale nie we wszystko wierzyłam.

— Nie wiem, co mówiono o mnie, ale wierzę, że to była prawda, Aliks. Ty jesteś czysta, ja nigdy, nawet w myślach nie byłam czysta, nawet gdy miałam lata Misia. Nigdy. Rozumiesz? Jestem gwałtowna, nieopanowana, nie wiem, co dziś pomyśle, co jutro uczynię.

— Mówisz, jakbyś oyla siostrą rodzoną Adama

— Tak, jestem jej siostrą i więcej niż siostrą i mniej niż siostrą. Nie przeklinaj mnie, Aliks.

— Placz! Łzy oczyszczają.

— Łzy nie oczyszczają. Jestem skazana, dosłownie, skazana. Co dzień wstępuję na szafot w tym mieście, które było kiedyś czerwone od krwi, co dzień zdejmują mi głowę z szyi i co noc odrasta mi znowu. Przepraszam cię, unio-

(Dokończenie na str. 7)

*) Porównaj „Odrodzenie” — nr 49 (1947) i nr 5, 7, 9, 13—14 (1948).

**) Według L. Podhorskiego — Okołowa

EWA SZELBURG-ZAREMBINA

WYJĘTA ŚCIANA

LUDU MÓJ LUDU, CÓŻEM CI
CIESIĆ...

W Karniewie przewodnicząca Kola Czytelnika, drugoletnia, doświadczona nauczycielka, ciesząca się w okolicy poważaniem, prowadzi nas obie na miejsce Gromadki ludzi kupią się na drodze. Przed urzędem sporo osób. Do świątecznego nastroju domieszają się, widać to, jeszcze inny jakiś.

— Stało się coś u was? — pytam przewodniczkę, ale nadzieją wozem spóźnieni parafianie śpieszący do kościoła i odpowiedź ginie w turkocie kół.

— Niezbýt to dobra pora. Wielki Tydzień, na taką imprezę jak nasza — mówię.

— Ach, nie. Czemu? — uśmiecha się starsza pani bez przekonania. — To, nie. Tylko, że mamy w tych dniach pogrzeb młodego ormowa... niespodziewany.

Postępujemy chwilę w milczeniu.

— Odbędzie się uroczystości. Szkoły gremialnie wezmą udział. Czy mogłyby nie wziąć? — westchnęła ze smutkiem.

— Nie, nie mogą — mówię. — I tak jest. Dzieci nasze nie żyją w wieściach, „dziecinnych pokojach”. Dzieci nasze, nawet te najmłodsze, brały czynny udział w konspiracji, w powstaniu. Biorą go nadal w życiu rodziców: na ich oczach odbyła się reforma rolna, upaństwowienie fabryk. Asystują przy wysięgu pracy ojców, matek, starszego rodzeństwa i same na swój dziecinny sposób biorą udział w odbudowie. To już nie „Lato-rośle” ani „Janki — muzykanty”. A oto stały się świadkami tego, co zaszło tutaj...

Siwowlasa Siłaczka kiwa głową ze zrozumieniem, ale słyszy w jej milczeniu: — Dzieci zawsze powinny być bez troskimi dziećmi i tylko dziećmi...

Wzruszam ramionami: — Teraz to są ludzie. Dzieci, dwunasto, czternastoletni, ale ludzie. Na to nie poradzi żaden Pestalozzi, żadna Ellen Key.

Z otwartych szeroko wielkich drzwi kościoła wciąż i wciąż, bez przerwy płyną gorzkie zale wielkopostnej pieśni:

— Ludu mój, ludu, cóżem ci uczynił? — i zdaje mi się, że nigdy już nie przestaną płynąć.

Spod nasuniętej na czoło żółtej chusteczki patrzą na mnie życzliwie szare oczy w otoczu drobnych promieniastych, gęstych zmarszczek: — Mało kto do nas z Warszawy przyjeżdża i jeszcze taki. Choć to blisko, to jakos daleko — uśmiecha się do mnie kobieta w żółtej cienkiej chusteczce pod grubą kraciatą chustą, gdy ludzie przechodzą z kościoła na plac przed kościołem i zaczynają przestępować przez próg przygotowanego wcześniej sali domu parafialnego. Kobieta, która zagadnęła mnie, trzyma obrzędowy dziś przedmiot: palmę.

W tej drobnej robocie widać zamiłowanie do barw i ład w ich doborze: — Ładna palemka — chwylał się szczerze. Kobieta stała się całą uśmiechem i życzliwością: — Córka, to córka robiła. Do szkoły dziewczyna chodzi. O, jest tam już we środku. A pojeździła do nauki! Tylko, że ze szkołą mamy ciężko.

Zniszczona we wojnę, jak wszystko tu i nie odbudowała jeszcze. W trzech domach dzieci się uczą. — A we dworze, bo dwór widzę w dobrym stanie i obszerny, co jest? — Na to pytanie odpowiada mi postawny, przystępny nieco mężczyzna: — Gimnazjum. — I do tego krótkiego słowa dołożono jest spora porcja dumy.

Gdybym poszła za swoim odruchem, powiedziałabym była po prostu: — Wybaczenie. Cokolwiek dalabym wam dziś, nie jest to — czego oczekujecie po mnie, po co zbieraliście się tak skwapliwie, z dobrą wiarą, ufni w słowo pisarza.

Za odruchem nie pozostam. N.kt mi tego nie wziął za złe. Słuchacze okazali się wdzięcznymi za wszystko. Przerzucani z nastroju w nastrój, zmuszeni do natężenia myśli i zachęcani do pofolgowania niefrasobliwej wesołości, by znów postawionymi być lico w lico z dojmującym do żywego zagadnieniem, trwali we współodczuwaniu. Po przestąpieniu progu pamiętać jeszcze będą? Mówię sobie, że — nie. A przecież mam niejedną dowód w tej wędrowce, że słowa pisarza to tu, to tam, najczęściej nie spodziewanie, zapadają w tę, stojącą zdawało by się, wodę, jak sonda. I jak sieć. Jakież będzie mój połów?

Początek nie jest łatwy. Ci ludzie oszczędnie używający słów w życiu, nie znajdując ich tak na poszekaniu. Pytania kierowane do mnie i odpowiedzi na moje, nie są liczne, ale dotykają spraw istotnych. Dlaczego pisarze piszą takie książki właśnie dzisiaj? Dlaczego tak mało książek historycznych? Wierszy, których można by się z przyjemnością uczyć na pamięć i mówić je głośno? sztuk, sztuk do zagrania na wsi? Młodzież ma jeszcze jedną, specjalną prośbę: Chciałabym mieć utwory Mickiewicza i Słowackiego. Pytam więc o stan biblioteki szkolnej. Takiej nie ma. Nie ma? — Organizujemy ją — wyjaśnia dyrektor. A jest inna z której można korzystać, prócz skrzynki „Czytelnika”? Słysz, że podobno działa biblioteka parafialna, chciałabym zobaczyć jej skład. Widocznie jest to połączone z jakąś trudnością, gdyż zamiast tego dyrektor pokazuje mi młodzież swą w świetlicy. W obczernym pokoju przy stołach siedzi grupa gimnazjistów każdy i każda nad rozłożonym przed sobą egzemplarzem prasy codziennej i periodyków z różnymi dałami. Od „Głosu Ludu” poprzez „Rzeczpospolitą” do „Szpilek” i „Muchy” jest niemal wszystko. Piękny obrazek — tylko sfotografować lub opisać! Otóż to... zbyt piękny, aby był... codzienny. Nie chcę tu jednak być niesprawiedliwa. Znowu brak czasu stać na przeszkodzie bliższego zapoznania się z prawdziwymi warunkami pracy tutejszej młodzieży, jej wychowawców i rodziców. Na to, aby sprawdzić i osądzić, trzeba pobyć z nimi więcej niż tych parę godzin i — nie tylko zwolnować ich do siebie, ale do nich iść i do domów ich, w dzień zwykły.

Wiecej skoro mamy przejeżdżać teraz przez Różan, postanawiam zobaczyć czytelników „bez zbiórki”. — Bo to nawet pani nie wypada — przycięła jej Walercia. — Co też panna Celinka wie! To tylko młody tak plecie. Ja dopiero teraz wiem co dziecko znaczy. Po pierwszym, po Irce, drugiego nie chciałam za nic. Czego ja nie próbowałam, żeby się rozeszło, i nic. Mąż mało zarabiał, przestał palić, ja chodziłam do posług w jednym magazynie, mordowaliśmy się, ale jak Marynia na świat przyszła, to miała wszystko. I nie żałuję, bo co się pokazało, że pierwsza trzpiot bez serca, głupia... A Marynia, pani wie, nie chciała tu siedzieć, bo nie zarabiała, pojechała do miasta do R. G. O. i robi swetry. Takie dziecko i chce matkę utrzymać!

— Nigdy nie wiadomo jaki los z dzieckiem przychodzi! Ja też małą Krystynę kochałam jak swoją, państwo mnie wzięli za chrześną! — pochwaliła się Walercia. — Wyszliśmy nas z Poznania. Nocą z domu. Tak raz, raz. Potem w Łodzi na cmentarzu. Babka tam umarła, przebiegła sobie krzyż. Potem w Warszawie. Pani wie, jacy teraz ludzie, jeden drugiemu z gardła wydrze. Mój mąż mechanik, nie umiał nikogo wyżyłować, robił baterijki, zapalniczki i żyło się jakoś. Całe powstanie przetrzymał, dopiero go przy wychodzeniu Niemiec z szeregu wywołał i pod mur... Tak tę ścianę widzę, że mogłabym cegły porachować!

— Idzie już i na nich chwila, — szepnęła marząco Celinka — będzie jeszcze sposobność, zemścimy się... — W Warszawie też nam obiecywali, a z jęncami byli tak ostrożni, jakby z jankiem! Żeby mi się tak udało do nich dobrać, tobym ich tym nożem! — Ostrze kuchennego noża błysnęło nieprzejmennie w burawych, drętowych żrenicach.

— Każdy się tak odgrząza, a jak przyjdzie czas, to nosa nie wystawi z piwnicy! — machnęła pogardliwie ścierką Celinka. — Bać się ludzka rzecz! — westchnęła Walercia, Odepchnęła nogą psa i zlewała pomyje do wiadra. —

— Nie, gorzej już być nie może! — E, co pani wiesz! Może trzeba będzie uciekać...

— Gdzie? Gdzie pani z dziećmi pójdzie? Od nieszczęścia człowiek nie ucieknie. Ja tam wolę zostać w swoich kątach.

— Pani dziewczęta też mówią, że od dzieci nie da się ruszyć!

— To święta kobieta — złożyła ręce Walercia. — Pana sędziwego nie dom nie obchodzi, tylko nos w książkę i mruży.

— Jednemu się tylko dziwie — powiedziała z namysłem Celinka — że chciało jej się mieć dziecko w cz...

LUDZIE JASKINIOWI ERY
ATOMOWEJ

Oto Różan miejsce po miasteczku, miejsce gdzie jeszcze w trzy lata po zakończeniu wojny, o osiemdziesiąt zaledwie kilometrów od stolicy, ludzie mieszkają w bunkrach. Wiecej co to są te, różańskie właśnie bunkry?

— Wysiądźmy, aby to zobaczyć. Wiatr dmie w tej chwili jak w dzień sabafu na Lysej Górze. Wrony i kawki porwane jego wirami, kolują jak czarne skrawki spalonego papieru. Zarysowany pięknie rynek, obrzeżony ulamkami domostw, wymieciony jest z wszelkich żywych istot. Jednak zaledwie uczyniłyśmy kilka kroków, znalazłam się wśród członków kola oczekujących na nas niecierpliwie. Nie ma mowy, aby nie wstąpić do szkoły. Tam dzieci czekają. A prócz delegacji dziecięcej są i przedstawiciele tutejszego społeczeństwa, z księdzem proboszczem i ob. burmistrzem.

Wysłuchawszy utworów ofiarowanych mi przez Różan, z kolei i ja ofiaruję im coś od siebie, gdyż żadną miarą nie jest to do pomysłenia, aby przybył tu pisarz z pustymi reklamami, choćby nie zapowiadał autorskiego poranku czy wieczoru. Wiecej jednak miejsce na książkę jest.

I tylko raz jeszcze wypadło mi pomyśleć, że żywe słowo to chyba za mało. Dla okolic tak pozbawionych wszelkich kulturalnych wrażeń (bo i radio tu zawodzi, nie mówiąc o kinie objazdowym) a tak ich spragnionych, należało by do książki dodać pieśń, muzykę. Ba, czemużby i nie taniec? „Czytelnik” ma możliwość urządzić to, urządzi też z rzadka. Niechże urządzi jak najwięcej dla swoich czytelników, a czytelnictwo zyska na tym niechybnie.

Samochód obłączony przez hałasującą, podniecone dzieci, zostaje na rynku. My, dorośli, całą gromadą idziemy teraz na zwiedzanie Różana.

Po drodze, przystając, rozważamy słaby stan czytelnictwa. Powtarza się to, co gdzie indziej. Brak czasu, raz. Ale i nieprzyswajanie. A także mała atrakcyjność książek, które choć rzadko, ale docierają do ludzi. — Dajcie historyczne, przygodowe, o wynalazkach. Bez przerwisty erotyzmu, nie wywołujące przynębnienia, ani nie kpiarskie, budzące otępie, wiarę w życie i ludzi tak bardzo zachwiana.

Książd proboszcz przerywa — (idziemy akurat nad strumym zboczem wzgórze) i zwraca mi uwagę na widok przed nami. Widok jest naprawdę piękny. Wzrok ślizga się po Narwi spokojnej, głęboko szafirowej i, lecąc bez przeszkód, zagarnia ogromny kawał horyzontu z łakami, lasami, osiedlami. Moi towarzysze mówią, że czystość i smak powietrza tutaj są wspaniałe i mówią rzetelną prawdę. Obywatel burmistrz ożywia się. Jest przekonany że Różan mógłby stanowić pyszne miejsce wypoczynkowe. Wszyscy Różaniec są tego pewni. Ja także. Ale Różan jest zapomniany jeśli nie od Boga Wszchemogącego, to od ludzi wie...

lemogących. Bo czym wytłumaczyć sobie to, co widzę obok? nora w ziemi wydrążona jedna, druga, trzecia i więcej. A w każdej norze istoty ludzkie. Z palącym rumieńcem wstydu podchodzę do pierwszej. Ileż dbałości ludzkiej przed norą zwierzęcą! Troskliwie i starannie, drobnymi piaskiem rzeczonym wysypane dośięcie, czyściutko umieczone to, co w ludzkim mieszkaniu być mogłom. Prawda, przecież to dziś Palmowa Niedziela.

Uchylam coś, co będąc zlepkim skrawków zardzewiałej blachy, ulamków, deszczolek i papy, jest widmem drzwi. Oto wnętrze: przegnie deski spomiędzy których sypie się wilgotna, czarna ziemia. Na kwadracie udeptanej ziemi — kołyska; w kołysce niemowlę, obok kołyski czworo drobnych dzieci i matka. Wystuchuję epickie powieści o zarazie na prosię, drugiej — o chorobie najstarszego, dziesięcioletniego synka przebywającego w tej chwili w szpitalu powiatowym, trzeciej — o niedźnych dorywczych zarobkach ojca rodziny chodzącego na wyrobek. Potem przechodzę z kolei do drugiej nory zajętej przez zrezygnowaną parę starców obarczonych synem inwalidą pozostającą bez zabezpieczenia. A potem do jeszcze jednej — tu napotykam Alinkę. Któż to jest, Alinka? Alinka N. to najlepsza uczennica VII klasy szkoły powszechnej. Zdolna, piętnastoletnia dziewczynka, mizerna, chuda, wątła. Ma i miała zawsze tylko matkę. Kończy w tym roku szkołę w Różanie i jeśli jej nikt nie pomoże wyostać się z bunkru i zamieszkać gdzieś w normalnym internacie przy normalnej szkole zawodowej lub ogólnokształcącej dla dzieci odrodzonej, demokratycznej Polski — zginie. Oto „właściwe słowo na właściwym miejscu”.

WYJĘTA ŚCIANA

W Sieluniu Koło „Czytelnika” zamawiane jest poza szkołą, wśród samodzielnie młodzieży pozaszkolnej dobrze zorganizowanej, i ma energicznego kierownika wybranego spośród młodych. W Sieluniu stary, dzielny ksiądz życzliwie współpracuje z młodymi. W Sieluniu i sąsiednich Miłynarach starsi ludzie także interesują się żywo zagadnieniami kulturalnymi. Oto wiadomości podane mi na drogę do Sielunia.

Zajeżdżamy przed obszerny barak — szkołę, poza którą stoją ruiny kościoła. Ludzie już czekają. I, rzecz dziwna, czy może właśnie bardzo naturalna, od razu czuję, że łączę mnie z zebranymi uczucie swojskie i serdeczne. Tyle ludzi się naszło, że trudno było pomieścić się wszystkim. Tedy wyjęli ścianę baraku i oto jesteśmy razem.

Przy gasnącym świetle dnia, stojąc u okna, czytamy. Zapada ciemność. Ktoś, sołtys, czy młody nauczyciel, wniósł zapaloną naftową lampę i postawił ją przede mną na małym stoliku. Barak tonie w gestym mroku. Z mroku bieleją ku mnie twarze zasłuchanych mężczyzn, kobiet. Tu bliżej. A jeszcze bliżej, dzieci.

Dzieci są zawsze i wszędzie we wszystkich tych sześciu miejscowościach przez te trzy dni.

Może osmiela mrok, a może wyjęcie ściany także się przyczyniło w jakiś sposób do swobody, z jaką ludzie wypowiadają się teraz.

Niespodzianką poniekąd jest głos kobiety żądającej książek „o miłości”. — Nie jestem już młoda — mówi ona rumieniąc się gwałtownie pod zwróconymi na nią spojrzemiami wszystkich. — Odchowalam dzieci, ale pamiętam siebie młoda dziewczyną. Dobrze są książki o miłości. — Cichych parę głosów potwierdza nieśmiało. Pada nazwisko „Rodziewiczówna” ale bez tytułów książek. I pada tytuł „Trędowata” ale bez nazwiska autorki.

Młody sołtys oponuje. W wojnę, a i po wojnie, wiadomo wszystkim co się wyrabiało i wyrabia, jaka demoralizacja! Dość tego. Z tym trzeba skończyć... Jeszcze ktoś zabiera głos na ten temat. I jeszcze ktoś. Że przecież różne są rodzaje miłości. Na przykład taka, która prowadzi do małżeństwa, do założenia rodziny, a więc do wzmocnienia państwa. Ale oto wstał i przemówił stary, siwy chłop. Zwrócił się prosto do mnie tymi słowami:

— Niech pani popatrzy na te cyre tych młodzików, co stoją tu przed panią. — Są głodni i przepracowani — mówił. I mówił, że udział młodych w odbudowie jest trudniejszy niż za jego młodości. A już specjalnie tutaj, na tym tak okrutnie zniszczonym kawałku ziemi. Powiedział, że on z synem byli pierwsi, którzy tu do wsi wrócili. I byli sami w zupełnej pustce. — To tylko człowiek parzył, czy gdzie tego dymku z pod ziemi wychodzącego nie zobaczy. — Ale dodał jeszcze, że człowiek jest jak ta jaskółka, której gdy zniszcza gniazdo, to ona na nowo je lepi i śpiewa i piskliwa wywodzi. Rzekł, że o takiej miłości powinien być pisane książki. A wtedy wszyscy zebrani poczęli klaskać razem ze mną i śmiać się do braw. I dzieci znowu zaczęły napierać się bajki dla siebie. Dostały ją też.

W Różanie, dokąd wróciłam z Sielunia na nocleg, noc przeszła mi na rozmowie z oczyną, sympatyczną przewodniczącą kola, córką tamtejszego drugoletniego właściciela apteki i entuzjastycznego działacza ochotniczych straży ogniowych. W niczym nie naruszonej ciszy półmaturalnego miasteczka cisza opowieści o bytowaniu małym miasteczku inteligencji i miałam zdumiewające wrażenie, że od czasów kroniki Aleksandra Głowackiego, nic się nie zmieniło w małych miastach. póki nie wsiadłam znów do czytelnikowskiego samochodu.

Z WYSOKOŚCI STOŁU

W poniedziałek z rana mimo pokrapiającego deszczu, w Gólmie był ruch. Ścieżkami, drożkami i drogami nadciągali młodzie i dzieci, ale tylko wybrane delegacje. A i to było ich tyle, że największa izba w miejscowej szkole ledwie pomieściła wszystkich. Wie-

le dzieci stało przed szkołą, czynając na ewentualną możliwość wsunęcia się cichcem do środka.

Prawda, musiałam wskoczyć na krzesło, aby mnie można było „obejrzeć ze wszystkich stron”. Prawda, musiałam czytać i mówić z wysokości stołu, ale cała widownia wzięła czynny udział, deklarowaliśmy sobie na przemian to pojedynczo, to chórem śpiewaliśmy. uczyliśmy się na pamięć wiersza — hasła.

Jedenastoletni uczeń pytał mnie o mechanikę twórczości: uważnie wysłuchał odpowiedzi. Inni interesowali się tym, jak wiele czasu potrzeba na powstanie książki. A potem, gdy dzieci szkolne nakrzyczyły się: „Jeszcze, jeszcze!” rozeszły się, zostaliśmy sami starsi. Mówiono o poezji współczesnej i o prozie, przytaczano z uznaniem Broniewskiego, a także Jastruna. Zastrzegano się stanowczo przed używaniem przez pisarzy w książkach słów wulgarnych, sytuacji drastycznych, wypowiadano się przeciw nadużywaniu gwary ludowej w powieściach. Żądano powieści historycznych, a także powieści z obecnego życia. Stwierdzono konieczność pisanja językiem prostym, dla każdego zrozumiałym. Pokonywanie mechanicznego trudu czytania dla wielu czytelników jest już dostateczną przeszkodą — wyjaśnił on. I tu, jak w poprzednich miejscowościach, dopytywano się o Bibliotekę Powieści i Romansów, chwalone „Rolnika”. Okazało się też że czytawne tu jest z zainteresowaniem pismo „Odrodzenie”. Ukazujące się w tym piśmie recenzje z książek, szczególnie są śledzone „choćby nie zawsze można się zgadzać z recenzentami”.

Krótką moją wędrowką po województwie warszawskim w znanym już na tych drogach samochodzie „Czytelnika” dobiegła końca. Nie przyjeżdżałam jednak u jej początku, że na zakończenie przyjdzie mi jeszcze przeżyć rzecz osobistą, która mocno targnęła mnie za serce.

Zaraz po przyjeździe do Gólmyna w rozmowie z tamtejszym i okolicznym nauczycielstwem kilkakrotnie powtarzało się nazwisko poprzedniego kierownika szkoły, jakiegoś zdaje mi się pepesowca, a zawsze w taki sposób iż odnosiłam wrażenie, że był to nieprzejętny człowiek wartościowy, i jako kolega i jako wychowawca i jako działacz. Dobrą jest rzeczą dowiadywać się o harmonijnej współpracy między ludźmi, dobrą jest rzeczą upewniać się, że taka współpraca daje pożądane rezultaty — więc było mi dobrze od tych słów, które słyszałam tutaj. Ale byłam już nieco zmęczona i za bardzo zajęta, żeby zwracać większą uwagę na szczegóły rozmowy toczącej na kilka minut przed wyjściem do słuchaczy. Dopiero po roześciu się tych słuchaczy, w innym już budynku i w bardzo szczupłej gromadce znów jakoś wróciło się do rozmowy o życiu nauczycieli. Spytałam mimochodem naszego, chwilowego gościnnego gospodarza (którego gładkowłosa c...

WOJCIECH ŻUKROWSKI

rysunki JULIUSZA KRAJEWSKIEGO

Ręka ojca 3)

— Widać dobrze im ze sobą! — pyknął Jan śmierzającym dymem w kota, który tylko potrzebajł im z odzadu.

— Diabła tam dobrze! Na siłę się wpycha! Aż wstyd i zgorzenie, już ja ja stamtąd przeświecę... Tak było dobrze bez tej Zeidlerki... Ona z Niemcami chyba, bo taka namolna... Dawniej książd: Walerciu to, a moja Walerciu tamto — grzechniutki, wszystko miał jak należy obsłużone, a teraz nrwet nie zauważy jak koło niego chodzę. Śmietanka, co mu w dzbanusku postawiłam, bo lubi do herbaty, skisła, a nie zobaczył! Całkiem mi go odmiennie! — Ciekawym, co oni mają tyle ze sobą do gadania? Trzeba podejrzec, co tam robią w pokoju?

— Pani Ratajczakowa, dwoje dzieci pani ma, a jeszcze pani nie wie co się tam robi? — stęknął sztyrdzro Jan, wyciągając nogi na środek kuchni.

— Bądźcie cicho Janek — skarciła męża Walercia. — Ani mi to było na myśl! Ja się na ludziach znam! On nie taki! On z kościami dobry i nie dumny, z każdym jak z równym porozmawia, doradzi, ode złego nawraca...

— Może i ja tam nawracam! — Jak cię strzelił zmywakiem w pałę, to zaraz ścichnie! — krzyknęła zła już, wykręcając gwałtownie szmatę. — Nie chcesz słuchać jak sobie gwarzymy, to jazda do koni! Co nam tu w kuchni barłozysz!

— Nie chcecie mnie, to idę! Wypukał z fajki na róg stołu ciepły popiół. Chciał zgarnąć donia na podłogę, zawałił się i zostawił, nie chcąc go tu, niech będzie naświnione. Nadymając policzki pokryte siwym zarostem, z trudem przedmuchał fajkę i ruszył ku drzwiom cięż-

rysunki JULIUSZA KRAJEWSKIEGO

nie wojny... Ja bym nie ryzykowała.

— Bo to nawet pani nie wypada — przycięła jej Walercia.

— Co też panna Celinka wie! To tylko młody tak plecie. Ja dopiero teraz wiem co dziecko znaczy. Po pierwszym, po Irce, drugiego nie chciałam za nic. Czego ja nie próbowałam, żeby się rozeszło, i nic. Mąż mało zarabiał, przestał palić, ja chodziłam do posług w jednym magazynie, mordowaliśmy się, ale jak Marynia na świat przyszła, to miała wszystko. I nie żałuję, bo co się pokazało, że pierwsza trzpiot bez serca, głupia... A Marynia, pani wie, nie chciała tu siedzieć, bo nie zarabiała, pojechała do miasta do R. G. O. i robi swetry. Takie dziecko i chce matkę utrzymać!

— Nigdy nie wiadomo jaki los z dzieckiem przychodzi! Ja też małą Krystynę kochałam jak swoją, państwo mnie wzięli za chrześną! — pochwaliła się Walercia.

— Wyszliśmy nas z Poznania. Nocą z domu. Tak raz, raz. Potem w Łodzi na cmentarzu. Babka tam umarła, przebiegła sobie krzyż. Potem w Warszawie. Pani wie, jacy teraz ludzie, jeden drugiemu z gardła wydrze. Mój mąż mechanik, nie umiał nikogo wyżyłować, robił baterijki, zapalniczki i żyło się jakoś. Całe powstanie przetrzymał, dopiero go przy wychodzeniu Niemiec z szeregu wywołał i pod mur... Tak tę ścianę widzę, że mogłabym cegły porachować!

— Idzie już i na nich chwila, — szepnęła marząco Celinka — będzie jeszcze sposobność, zemścimy się...

— W Warszawie też nam obiecywali, a z jęncami byli tak ostrożni, jakby z jankiem! Żeby mi się tak udało do nich dobrać, tobym ich tym nożem! — Ostrze kuchennego noża błysnęło nieprzejmennie w burawych, drętowych żrenicach.

— Każdy się tak odgrząza, a jak przyjdzie czas, to nosa nie wystawi z piwnicy! — machnęła pogardliwie ścierką Celinka.

— Bać się ludzka rzecz! — westchnęła Walercia, Odepchnęła nogą psa i zlewała pomyje do wiadra. —

Żeby były nasze świnki, było by komu wynieść, a tak marnuje się...

Izba, gdy odciągnęli szaflik, zasunęli stół pod zasłonięte okno, zrobiła się nagle przestronna i pusta.

Zatłukiły się buty, otrzepywano śnieg i nawóz za progiem. Brzęknęła głucha bania i w otwarte drzwi wszedł Jan niezgrabnie, rakiem, pomagając Julce wciągać bankę.



— Ale wał! — powiedział. — Ino dudni!

Julka miała twarz obwiązaną chustką kwiciastą, przybrudzoną, przysianiała dół twarzy. Końce zarzazane zwiślały na karku. Zającą wargę zakryła dodatkowo donia, przysiadłszy odruchowo plecami do światła.

— Już tak parę razy było — marmotała. — Powietrze czyste, to się głos niesie!

— Poczekajcie, wyjrze! — poskoczyła Celinka. Za nią wysunęła się Ratajczakowa.

Noc była mimo księżycy ciemna. Chłód czuło się w oddechu. Szczerbą nowik, jak kawał sera ałgryzowego przez myszy, widniał nad lasem. Srebrzyły wierzchołek skały zwanej Kulakiem, wystającej po-

nad zębata linia lasu. Pachniało mrozem. Sopie na dachach kruszyły się i ze szklanym brzękiem spadały w śnieg.

Do skalnej ściany doliny echo naniósł pogłosem kanonady.

— Biją jakby bliżej! — szepnęła Ratajczakowa z ręką przy uchu, przekrzykując głowę.

— Nie mogli się za tę chwilę przysunąć! — parsknęła wzgardliwie Celinka. Pociągnęła nosem. — Mróz aż szczypli!

Ogień artyleryjski przysguszył belkot Siniawki, czarnym zrygiem rysującej się na dnie doliny. Ucho powoli się zaostrzało — głosy walki nabierały mocy. Niebo zdawało się drgać i gwałtownie igłać z mrozu migotały chwiejnie.

— Idzie to na nas, idzie... — przeżęgnęła się nabożnie Walercia.

Okno w lewym skrzydle było krzywo zasłonięte. Blask rozlewał się na piętze, ale zginął, nie rzucając plany na dęptany śnieg podwórza. Usłyszeli wyraźnie śpiew kobiety, potem przycięły się drugi głos. Cienie przesuwały się za szybą.

— Tańczą! — szepnęła Celinka. Stali z zadartymi głowami, śpiew odbijał się w zacisznym zakątku zamkowego podwórza.

— Kręć się, kręć, aż ci polreć! — pogroziła pięścią Ratajczakowa. — Zdać się, że moja Irka znów tam polazła. Witytki, śmichy — chichy, a tu aż groza bierze pomyśleć...

Zawrócili do kuchni.

— Ile było mleka? — Dwadzieścia jeden i pół — burknęła Julka spod chustki.

— Co tak mało? — Cztery litry od krowy to aż nadto!

Celinka zapisała w zeszytku. Wzięła litr i zaczęła wlewać mleko do aluminiowego zbiornika, centryfuga monotonna buczała głucho odgłosy ząbów.

— Wojna, wojna, a swoje trzeba robić! — mruzczała Julka, kręcąc korba. Pachniało ostro ciepłym jajem, krowią sierścią. Chustka jej się zsunęła i dwa długie siekacze błyskały spod rozciętej wargi.

Jan przywiał żonę skinięciem, a gdy nachylił się nad nią, zaczął szeptać:

— Jak biją z armat, to nie. Dopiero jak uśanie, to znaczy, że foryrują. Jak znowu zaczęła walić, wtedy słuchaj. Będzie głośnie, znaczy przełamali się! Wtedy nie ma na co czekać, najlepiej jeszcze teraz spakuj co lepsze i miej na podórzedziu, żeby do piwnicy jakby co...

— Niemcy nie krnądzą! — próbowała zbagatelizować pouczenie.

— Mało nie! A Ruscy też się rozleza. Taki nie ukradnie, ale starga ci najlepszą koszulę na onuce, i ma prawo, bo jest w marszu. Słuchaj mnie stara! Ty mnie tylko słuchaj! — pogroził jej palcem.

— A ty co? — Ja będę przy koniach. Sam nie wiem co jeszcze zrobić. Wyprowadzić w las, czy co? Najlepiej gdzieś wywieźć i przydekorować, żeby nie wypatrzyli...

— Biedne dzieci, sierotki kochane — westchnęła rzewnie Julka.

— Jak dzieci tyle przetrzymały, to i teraz przeżyją. Pan Bóg chroni. Ale koni duszy nie ma, na konie idzie strach...

— Zsunął czapkę i podrapał się w ciemię.

— Żeby tak ktoś doradził... Jak się ucieczka zacznie będą się za koniami rozbiegać!

Panna Lucja powoli zliczała pozycje. Klecała na krześle tyłem do drzwi. Czasami wstawała, przechodziła pokój i nabierała do torebek groch mielony, cukier i grysik. Ustawione pod oknem papierowe worki miały brzegi głęboko zawinięte, w niejednym przeświecało już dno.

Żywność zapowiadana przez Zarząd spóźniała się i tym razem. Trzeba było oszczędzać na dzieciach. To gniewa

reczka Zosia przyglądała się nam i przysłuchiwała się w cichym, chłonnym milczeniu z niedającym się opisać uśmiechem nieśmiałym i onieśmielającym):

— Od dawna pan tutaj?
— Pracuję jako nauczyciel od dawna, ale miejsce kierownika objąłem po zabójstwie mego poprzednika, więc dwa lata temu.
— A! — Poczułam się jakoś nieswojo — coż to było z tamtym?
— Odbywało się akurat tutaj, o, zebranie. (Zrobiłam widać jakiś ruch nieoczekiwany, który przez uśmiechniętą Zosię, przyglądającą mi się okrągłymi oczami, został zrozumiany jako chęć sięgnięcia po oddalony na stole talerzyk. Przysunęła mi go. Ojciec wspominał dalej). W jakiejś chwili G-skiy wstał, przeszedł do drugiego pokoju przez te o drzwi i — wymowny gest i zawieszenie głosu — wtedy...

Słyszę jeszcze sporo słów, że skrytobójców nie odnaleziono, że nie byli to jednak: obcy ludzie, skoro czatowali na upatrzonego. Słyszę je — te słowa — jak padają, różne, ale wsłuchana jestem w dźwięk jednego, które teraz dopiero ma dla mnie swój właściwy sens: G-ski.

Muszę się przemóc, żeby o to spytać: — Czy miał na imię Józef? czy miał te lata? czy kończył seminarium nauczycielskie w Miławie.

— Tak, Tak, Tak. — I patrzy na mnie. Patrzy. Wciąż jeszcze muszę zdobyć się na to, żeby dopowiedzieć: — Był moim uczniem.

Kiedys na pewno powrócę do tamtego okresu, który ledwo wspominałam w powieści „Polne grusze” pisanej w Miławie właśnie, kiedy miałam 23 lata. Ten rok w Miławie, gdy seminarium objął różniak swoich uczniów, wówczas najmłodszy latami dyrektor w Polsce, początkujący, utalentowany autor powieści pedagogicznej „Sobieradek” i drugiej o temacie więziennym „Obok życia” niezwykle wychowawca i nauczyciel Jerzy Ostrowski. W czasie okupacji Niemcy zamierzali go w Oświęcimiu i doбили go w Gusen. A oto w tej chwili dowiaduję się na miłym poranku autorskim w Golyminie, którego do dziś nie znam, ani słyszałam o nim kiedyś, o tragicznej śmierci naszego najlepszego wychowanka Józika Golaszewskiego. Jest mi ciężko.

Nie mogę jednak przestać o tym myśleć, że tragicznie znaliśmy kończy się moja „czytelnikowska” podróż w nieznane.

Gdy rozmowa znów się zawiązuje jest już rozmowa o książkach. Padają tytuły książek: Putramenta, Osmańczyka, Andrejewskiego. Tych można czytać. Tych rozumie się. Pruszyńskiego i Meissnera także. Padają tytuły: „Kobiety z Ravensbrück” „Dymy nad Birkenau”. I jeszcze raz Sienkiewicz, Prus, Orzeszkowa, Rodziwiczówna. Tam gdzie czytają. Bo czytają nie wszędzie. A wszędzie czytają mało. Choć wszędzie chcą czytać i chcą czytać rzeczy nowe. Był im to ułatwić, w tym pomóc. Wier przy tym i prośba: niech skrzynka „Czytelnika” zjawia się częściej z nowościami niż co parę miesięcy!

JAK W WIERSZU ST. TFA
„Któż tak twardo modliły się grusze;
Niech jak najdalej mnie owoc mój padnie!”
Już w drodze powrotnej blisko Warszawy młody człowiek, które-

go zabrałmy na szosie za Pułtuskim, zwraca się do mnie z nieoczekiwanym pytaniem: — Pani pisarko, jak się pani podobala nasza wieś?

Okazuje się, że był w Sieluniu, gdzie ma rodzinę. Sam jest uczniem Pszczelina, siostra studiuje matematykę, czworo rodzeństwa również otrzymało wykształcenie, mimo chłopskiej biedy. I mimo, że analfabeta? Ależ dlatego właśnie. Ona to bowiem, ta matka, chciała aby jej dzieci żyły inaczej, aby były „światłem”.

Niechże ta pochwała kobiety — chiopki zakończy moją podróż.

Gdy dziś, po paru dniach i z Warszawy, wspominam te rozmowy — nie jestem wcale pewna, że dały one coś czytelnikom. Może mniej, znacznie mniej, niż się spodziewałam, rzucając swoje zajęcie na tych parę godzin i spiesząc na wezwanie Spółdzielni Wydawniczej „Czytelnik” i Zawodowego Związku Literatów. Wiem jednak jak dużo te spotkania dały mi, pisarce. Ugruntowały we mnie szacunek dla tych czytelników, nie rozporządzających nawet... dostateczną ilością nafty w lampie! Ugruntowały też i szacunek dla samej pracy pisarskiej — przekonałam się naocznie o tym, czego byłam intuicyjnie pewna: ludzie pracy, ludzie tworzący nową Polskę, chcą widzieć w książce nie snobistyczne wyczyny małej grupki obojętnych im, obcych ludzi, ale wyraz własnych, rzeczywistych przeżyć, dążeń i ideałów. Tak — ideałów.

Ten chłop, którego widziałam w powrotnie drodze, orzący przy szosie pole pod owies, młody milicjant trwający na posterunku w zapadłej wsi, nauczyciel nie mający zbywającej chwili czasu dla siebie samego i chodzący w dziurawych butach, ksiądz mieszkający w obórze i własnymi rękami zbierający cegły zburzonego kościoła swej parafii, dzieci z bunkrów, apłekarz z małej miejsciny, wszyscy oni czekają na dobrą, najlepszą, tanią książkę, na dobrego, najlepszego pisarza, który by sam do nich przyszedł. A tymczasem czytamy w „Przekroju”, piśmie, które rozchodzi się szeroko wśród czytelników różnych warstw: „Wypada jak najgorzej przestrzec przed wydawnictwem w Bibliotece Romanów i Powieści (które to wydawnictwo jest kalkulowane sześć razy mniej niż zwykłe) „najwybitniejszych klasyków”.

„Gdy nie dostarczymy zwykłemu odbiorcy (pisze pan Top.) dobrej przystępnej belestryki rozrywkowej, wcale nie będzie czytali. Pójdzie na wódkę. Walkę o szeroki zasięg czytelnictwa może wygrać tylko literatura klasy drugiej i trzeciej... ona dopiero utrwalać może drogę książce najlepszej. Oto szczytne zadanie Biblioteki Romanów i Powieści”.

Nie. Trzeciorzędna literatura nigdy i nikogo nie zrzuci ani przyciągnie do najlepszej książki. Przeciwnie. Trzeciorzędna literatura niszczy w szerokich warstwach czytelnicych zdrowy instynkt szukający książki dobrej, dobrej artystycznie ale i poruszającej zagadnienia, których wagę taki czytelnik, chłop i robotnik, odczuwa w swym życiu. Książka trzeciorzędna — to przede wszystkim kim trzeciorzędne zagadnienie. A więc — więcej szacunek dla dzisiejszych czytelników.

Ewa Szelburg-Zarembina

STEFAN DĘBSKI

O FRANCISZKU HALASIE

Wiadomość, którą przyniosła parę tygodni temu prasa i radio, była dość lakoniczna: Franciszek Halas, znakomity poeta czeski, otrzymał nagrodę polskiego PEN-CLUBU za przekłady dokonane z dzieł poetów polskich, Mickiewicza i Słowackiego, na język czeski.

Widzę go jeszcze dokładnie, jak rozmawia z Julianem Przybosiem i żywo gestykuluje ręką, w której trzyma plik arkuszy korektowych cudownie pięknego i przedziwnie wiernego przekładu „Dziadów” Mickiewicza, wtajemniczając polskiego poetę w alchemię własnej wirtuozerii słowa. Słyszę jeszcze, jak opowiada o tym, co skierowało go do Mickiewicza i polskiej poezji romantycznej, o warunkach, w jakich tej pracy przyszło mu dokonać.

Wzrostu raczej średniego, żywy i impulsywny, z niesforną grzywą przedwczesnie siwych włosów, — Halas ma dopiero 46 lat, — o lekko zadartym nosie taki, jakim go może pamiętacie z karykatury Andrzeja Stopki, zamieszczonej w zeszłorocznym „Odrodzeniu”, Franciszek Halas w niczym nie zdradza zewnętrznego wyglądem człowieka, który w alchemii jest największym z żyjących poetów czeskich. Tylko jego oczy, niebieskie i naiwne, przesłonięte dymem jakiegoś zamyslenia, zmęczenia czy smutku a jednocześnie pełne wyrozumienia i życzliwości dla wszystkich, mają w sobie urok i zniewalający blask wielkości. Jego oczy i prostota subtelne a głębokie poczucie humoru oraz niezwykła skromność, z jaką traktuje siebie i swoje dzieło, skromność przejawiająca się także w nieco nieoczekiwanej bezpośredniości poetyckiego „cygana”, gotowego wypieć z najmłodszym kolegą szklankę dobrego, morawskiego wina — Halas pochodzi z Brna na Morawach — jednemu mu ogólna sympatia. Sympatię nie tylko wśród literatów ale i wśród prostych ludzi pracy. Halas jest bowiem zarówno wielkim jak i ogromnie popularnym poetą, popularnym w dobrym tego słowa znaczeniu, wśród najszerszych warstw swego narodu, tak jak popularny jest na przykład w Polsce Władysław Broniewski lub Julian Tuwim.

Kim jest Franciszek Halas jako poeta i jakie jest jego stanowisko we współczesnej poezji czeskiej? Analogia z twórczością wspomnianych dwóch poetów polskich najlepiej nam to uwatadni. Podobnie jak Broniewski wyszedł Halas ze środowiska proletariackiego i wstał w tradycjach walki klasy robotniczej. Nad jego wczesną twórczością zadrżały wspomnienia zgniezionej rewolucji społecznej z roku 1920 — czasy, które były tworzyłem powieściowym „Anny proletariuszki” Iwana Olbrachta. W owym początkowym okresie był Halas poetą buntu, piewą rewolucyjności proletariatu. Dalsze lata przyniosły zwrot w jego twórczości; zbliżył się do tak zwanego w Czechosłowacji poezmu, ścisłego odpowiednika postawy poetyckiej naszych Skamandrytów. Z kunsztownością i bogactwem form nym swej ówczesnej poetyki łączył Halas drażliwy kult życia, jego bujności i płodności. Jednak oderwanie się od tematyki i podglebia

społecznego twórczości młodzieńczej, subiektywizacja i pęd ku czystej, nie obarczonej troskami dnia lirycie, nie pozostało bez echa i na wiele lat zabawiło poezję Halasa tragicznym akcentem wewnętrznego rozdarcia. Wszystkie jego temiki poezji z owego międzywojennego okresu: „Sepie”, „Kogut płoszy śmierć”, „Twarz” (która otrzymała nagrodę państwową), „Goryczka”, „Cisza”, „Stare kobiety” czy „Na oścież” noszą ślady tego rozdarcia i tragicznego spojrzenia na życie.

Coraz częściej przewija się w twórczości Halasa motyw śmierci, gnica, cmentarza, nocy. Życie, bolesny sen, śmierć — treść ówczesnej poezji Halasa, łączy się z intensywnością przeżywania i ukochaniem przemijającego piękna świata zewnętrznego w całość, przypominającą stopniowaniem przeciwności poetów baroku czy — jeśli chcemy poszukać bliższych analogii — baudelaireowskie widzenie życia i poezji.

Ale w latach poprzedzających nadejście wielkiego kryzysu światopoglądowego, w latach poprzedzających bezpośrednio tragiczny dla narodów Czechosłowacji rok 1938 następuje, podobnie jak w późniejszej twórczości Tuwima, zasadniczy zwrot. Już zbiorek poezji „Stare kobiety” był pod tym względem zmiennym. Jeszcze silniejsze akcenty znalazły się w tomiku „Na oścież”. Halas powrócił do pierwotnych źródeł swej poezji, odnalazł zapomniane ścieżki,

TYMOTEUZ KARPOWICZ

DRAMAT DWÓCH KOŁ

Kaucukiem teraz pachnie każdy przechodzień i koń

Za oknami — skowronki z gumy.

Aut osiadłane blaskiem węgą asfalt,

gumowymi stopami gasząc rumor.

Na ściernisku kłaska drewno wozu,

obok drzy niecierpliwie sprzęt z demobilu

Jedne koła szumią dębami znad Wisły,

drugie koła — Brazylią.

Jan przez całe życie wmontowywał swe ręce w szprychy

giął obody, kiedy skrzeczał szczygieł w akacji.

A teraz oślepy przez cień swój się przechyla

czyta: wul . . . ka . . . ni . . . zacja.

W pniu kornik draży ciszę,

trzask chityny — a na polu traktor wybuchy oblicza.

Ojciec — kocha swe różowe koła,

syn — kaucuk syntetyczny.

Szczecin, 1948 r.

Stefan Dębski



się jej postać w zmętniałych kolorach, z jasną gwiazdą lampy na stole.

Spojrzała na kalendarz. Zdarła kartkę — 15 stycznia.

W ciszy monotonicznie wdychał pieć i mysz skrobała pod powalą. Czasami szyby brzęknęły lekko, jakby uderzone zrywającym się wiatrem.

Nie była zmęczona, raczej nieokreślone zniechęcenie, którego bezpośrednie przyczyn trudno jej było dojść. Nie lubiła tej godziny, gdy czynności powoli wygasły i zostawała sama w tym wybielonym pokoju pachącym mykłym murem i drzewem, które suszono za piecem. Stawała znowu wobec przyszłości jak przed zamkniętymi drzwiami.

— Nie mam już swojego życia, niczego nie pragnę — szepnęła. Ścisnęła ją w gardle jak od skrywanych łez.

Wszyscy, nawet matka narzeczonego, mieli jej za złe, że nie zaplała na pogrzebie. Gdy garść piasku zaszczęła na wieku, twarz miała spokojną poćmiła tylko i ściągnięta jak po deszczu. Nie

czuła bólu, raczej zdziwienie pełne zniecierpliwienia. Wtedy chciała być sama, wierzyła, że cały ten ceremonial żałobny nie może ich dzielić, zbyt mocno żył jeszcze w niej, by się mogła pogodzić z utratą.

Pojęła ją dopiero w parę miesięcy potem na przedwiośniu wśród bezlistnych jeszcze drzew cmentarza. Białe brzozy, przez wiotkie, rozkołysane gałązki wędrował świecący obłok, po niebie tkliwym, ledwie nad horyzontem zabarwionym niebieskością.

Przygłębia się ugodzona cierpieniem. Zdawało jej się, że dopiero teraz się od niej odsunął, rozwiął w ciepłym powietrzu, wsiał w obudzoną ziemię. Gdy podniosła oczy na świat nasłoneczniony, na drzewo rozdzwonione od wróbi i chłodny wiatr opłynął jej szyję — zrozumiała, zaciskając pięści, że nikt nie podziela jej bólu. Była sama.

Przypomniała sobie Boga, modlitwy, wykonała białą gest, ale zaraz potrząsnęła głową, wszystko wysuwało się z bezwładnych palców. Nie. Nie. Teraz odsłaniała się w niej nagromadzona czułość, którą już nie mogła obdarzyć tamtego. W biciu serca zgadywała gotowość do ofiary, nikt jej jednak nie zażądał. Nie myślała ani na chwilę o samobójstwie, uważała się za dostatecznie zmartwiałą, towarzyszyła pogrzebanemu.

Gdy w R.G.O. zrozumiiano jej stan, nie oszczędzono jej więcej. Rzucono ją do prac, których nikt nie chciał się podjąć. Były to zajęcia nieefektywne, kłopotliwe, przy których — co skrywać, kiedy i to u filantropów wojennych często odgrywało rolę — trudno było coś zarobić.

Ona jedna wytrwała z dziećmi: z brudnego, schorowanego i zawzonego stada — zrobiła prawdziwy sierociniec.

Szyby zaśpiewały cienko i kilka płatków wapna zawirowało w powietrzu. W głębszej ciszy z trzask-

kiem kruszyło się na rozłożonych papierach.

Z daleka zastukały pośpieszne kroki, otwary się gwałtownie drzwi i wpadła Celinka.

— Proszę pani, zaczęło się! — zawołała rozplamieniona. — Idzie ofensywa!

Objęła Łucję, przytuliła policzek do jej włosów.

Szyby zadzwoniły leciutko.

— Słuchaj! — podniosła się nagle Łucja. Serce jej ścisnęło niepokój, na cienką, śniadawą skórę policzków wystąpił ciemny rumieniec — Celinko, jadę natychmiast!

— Gdzie? Zaraz, nocą?

— Tylko teraz możemy przejechać. Pomyśl, mogą nas odciąć. Wiesz jaką przygotowała obronę, miasta nie dadzą łatwo! Dzieci zostaną tu bez żywności i bez pieniędzy! Muszę zaraz jechać! Słuchaj!

— Wzrociła się gwałtownie, ujmując Celinkę za ramiona — Jutro wróce, żeby nie wiem co! Dasz sobie radę? Mogą tu przyjść Niemcy, kwatrować!

— Ojej, wielka rzecz, dzieci nam nie ugryzą!

— Weź sobie Irkę do pomocy! I Tadeusza... Będzie ci rażniej.

— Czy tylko sędzia da konie?

— Idę do niego. Musi dać!

Wstała od razu napięta, ciemne oczy stwardniały uporem.

— Jutro tu będę z powrotem. Nie dajcie się stać ruszyć. Gdyby coś się działo w pobliżu... — Omijała słowo walka, żeby dziewczynę nie straszyc — gdybyście już musieli się schronić, pamiętaj o piwnicach.

— Niech pani będzie spokojna, do jutra na pewno jeszcze nie się nie zmieni. Ja do pani właśnie szłam, żeby mnie pani na jutro zwolniła, ale jeżeli tak, to niech mi pani jedno załatwi... Zaraz napiszę parę słów...

Wsparta o stół, przekrzywiając głowę nakreśliła dużym, dziecięcym piśmem: „Zbyszek! Przyjeżdżajcie natychmiast po narzędzia, bo mogą się zmarnować. Albo po-

dajcie wskazówki co dalej z nimi robić. Cel. Suchowody 15 b.m.”

— Proszę to zostawić w kwiaciarni „Flora” na Podwalu. Wie pani? Prawie po drodze...

— Dobrze, załatwię ci to.

— Ale na pewno: Niech pani nie zapomni, bo to ważna sprawa, — uśmiechnęła się porozumiewawczo — nie potrzebuje pani czekać na odpowiedź, powinna być wcześniej, naszą pocztą.

— A ty nie ruszaj się od dzieci na krok!

— Czy mnie trzeba pilnować? Pierwszy raz będę sama?

— Jeszcze nie ma dziesiątej... No, nie obrażaj się, tylko skocz, zawołaj Jana, niech przyjdzie do sędziego. Nie mów mu o co chodzi, bo gotów się przestraszyć.

Gdy wpadła na korytarz, Łucja stanęła z rękami opuszczonymi z przymkniętymi oczami i skupioną twarzą, nie była pewna, czy może instyktowi zaufa. A jeśli pośpiech jest zbyteczny? Może ulega chwilowemu nastrojowi?

Szyby raz po raz dzwięczały ostrzegawczo. Westchnęła, wahać się położyła dłoń na klamce, ale próg przekroczyła już zdecydowana.

— Jadę — szepnęła — muszę jechać...

Tuż za drzwiami stał ksiądz Horbaczewski wyraźnie zakłopotany, spoglądając spode łba.

— Pani pozwoli, panno Łucjo, że pania na chwilę zatrzymam...

— Spiesz się księżo kapłanie!

— Wiem, ta wariatka leciała korytarzem i tłukła pięścią w każde drzwi.

— Nie mam czasu rozmawiać teraz o Celince.

— Ja też nie o niej, tylko w swojej sprawie...

Ścisnął obie dłonie gestem chciwa — Czy mogę liczyć na pani dyskrekcję... Właściwie niepotrzebnie to mówię... Wiem, że mogę!

Patrzyła z twarzą spokojną, nieodgadnioną.

łączące go z tymi, którzy mimo wszystko byli jego sercu poety najbliżsi, z robotnikami, prostymi ludźmi, z narodem. Stał się znowu poetą silnie związanym z tematyką społeczną i trzeba to powiedzieć — był jednym z twórców, którzy dla katastrofy narodowej, wtedy, kiedy naród łaknął wielkiego słowa poety, znaleźli wyraz najbardziej monumentalny. Zwłaszcza jego tomik „Zarys nadziei” stał się niejako ewangeliją poetycką najszerszych warstw w latach nocy okupacyjnej.

Ogólne znaczenie twórczości Franciszka Halasa w nowoczesnej poezji czeskiej, a właściwie w czesko-słowackiej, ponieważ wielu poetów słowackich było pod urokiem i czerpało z jego doświadczeń, jest dwójakie. Halas jak nikt inny w okresie międzywojennym wzbogacił poezję swego kraju zdobyciami formalnymi, bogactwem nowej metaforyki i oryginalnej wewnętrznej konstrukcji lirycznej. Najgłębiej wyraził sprzeczności duchowe pokolenia, któremu bogactwo i wspaniałość życia uparcie przesłaniała pleniąca się coraz głośniejszy krzywdą społeczną. Wreszcie: stał się poetyckim wodzem narodu w najcięższej chwili. Czy mógł poeta znaleźć dla siebie większe zadośćuczynienie niż fakt, że jego konspiracyjne wiersze, posyłane tajnymi drożkami poza granice państwa, towarzyszyły aż do końca czesko-słowackim żołnierzom w dalekim Buzułuku w ich marszu do Karpat i wolnej ojczyzny, żołnierzom tkwiącym w beznadziejności piachów

Tobruku czy walczącym nad Londynem. I nie tylko tam. Wiersze Halasa były również ewangeliją ludzi walczących na froncie krajowym.

I tu dochodzimy do punktu, który interesuje nas najbardziej, do sprawy tłumaczeń dzieł polskich poetów romantycznych, dokonanych przez Halasa w czasie wojny.

Rozmawiałem o tym zeszłego roku z Halasem. Powiedział wówczas po prostu że właśnie podobieństwo losów, analogia między uciskiem Polski przez carat a zmorą niemiecką, bezlitośnie gnębiącą Czechów, skierowała jego zainteresowania ku polskiej poezji romantycznej. Tak jak dla Polaków była ona niegdyś poezją nie tylko buntu ale i nadziei — tak stała się nią dla poety czeskiego w czasie ostatniej burzy dziejowej. I jeszcze jedno. Wracający do społeczno-rewolucyjnych źródeł swej poezji, Halas znalazł dla siebie moralne oparcie w pismach społeczno-politycznych Mickiewicza. I tak jak z Gustawa rodził się kiedyś Konrad, tak i czeski poeta zamyślił się głęboko nad najistotniejszym zadaniem poety. Zrozumiał pokorę Mickiewicza, który przełamawszy w sobie tylko poetę, pojął sens służenia swym geniuszem społecznej sprawie swego narodu. Taka była geneza tłumaczeń Halasa.

Owocem żarliwej i iście benedyktyńskiej pracy Halasa-tłumacza są przekłady następujących utworów: Słowackiego „Balladyny” i „Lilli Wenedy” (które ukaza się niebawem w druku) oraz Mickiewicza „Dziadów”, „Grażyny” i „Konrada Wallenroda”, które już się ukazały. Trudno właściwie mówić o przekładzie, ponieważ — jak to powiedział kiedyś Przybós — jest to dzieło tak wysokiej klasy poetyckiej jak sam oryginał, idealny odlew brązu z tego samego modelu. Rytmika, obrazowanie zostały jak najwierniej zachowane a wraz z nimi cały urok oryginału. Gdy się czyta ten cudowny przekład, przychodzi na myśl chyba tylko rosyjskie przekłady Tuwima. Trzeba przyznać, że tłumaczenia Halasa z języka polskiego na czeski są bodaj najpiękniejszymi, jakich się język polski doczekał.

W końcu jeszcze pewien charakterystyczny drobniak. Zwykle pogodny i uśmiechnięty Halas chodził zeszłego roku po Warszawie zupełnie zmieniony. Nieco przybladły, z ostrą zmarszczką między brwiami, bez słowa oglądał niekończące się ruiny. Tylko raz, kiedy powiedział nam z cicha, jaką radość sprawia mu fakt, że choć tymi kilkoma przekładami spłacił w części dług bratniego narodu, że udało mu się przyłożyć rękę do wzmożenia naszych uczuć płynących z braterstwa słowiańskiego.

Kiedys w czasie wycieczki na Wawel, gdy zmęczony nie mógł już towarzyszyć innym zwiedzającym, usiadł, by pogwarzyć o sprawach poezji. Ale kiedy mieliśmy już odchodzić, zażądał mimo zniechęcenia, aby mu pokazano grób Mickiewicza.

Taki jest Franciszek Halas, piękny człowiek i wielki poeta.



— Czy to ma jakiś związek z moim wyjazdem, bo tylko to mnie interesuje?

— Owszem, ma... Może mi pani bardzo pomóc. Dziś dostałem wezwanie na śróde do Kurii. Napisano na mnie doniesienie, skargę... Chciałbym żeby pani zażyła księdza kanonika Brzózki, on jest w kancelarii, będzie wiedział. Na pewno pani powie...

Biorąc jej milczenie za odmowę, powiedział gwałtownie.

— Nie ośmieliłbym się pani o to prosić, gdyby to nie był pani krewny. Wiem jak pania lubi... Gdy mnie tu przysłał polecił mi, że bym... To przysłał tak blisko, pęram kroków od R.G.O. Może pani wpadnie?

— Czy ksiądz nie wie o co im może chodzić?

— Nie, nie wiem! Na wezwanie u dołu jest dopisek: jeden załącz-

(Dalszy ciąg nastąpi)

SZUKA DLA DZIECI i MŁODZIEŻY

STYL BAJKOWY*)

Nowocześni ilustratorzy książek dla dzieci szukają wzoru dla swych rycin głównie w świecie kolorowej schematycznie stylizującej dziecięcej wyobraźni i twórczości rysunkowej. Dobre ich ilustracje są zawsze mniej lub więcej podobne do dziecięcych zabawek, które przecież też są uproszczonymi i artystycznie**) stylizowanymi miniaturami podobiznami wzorów istniejących realnie w tej rzeczywistości, która niczego nie upraszcza i nie stylizuje.

Na dobrych ilustracjach te rysowane i malowane zabawki stają się jednak żywe! Dobry malarz (grafik) potrafi narysować postać nawet bardzo schematycznie uproszczoną tak że nabiera wyrazu, ruchu i życia. Nie należy sądzić, że rycina staje się tym bardziej „żywa” im naturalistycznie wierniej została wykonana i im bardziej realistycznie szczegółowo (fotograficznie wiernie) została opracowana. Świat rycin jest innym światem niż świat realny, który widzimy na codzień. Świat kolorowych obrazków sam przez się już jest do bajki podobny, jako że w nim występują wyższe, lśniące, tężowe kolory jako że w nim istoty i rzeczy choć w bezruchu zastępy jednak żyją i ruszają się, jako że wreszcie te rzeczy i istoty z obrazka — mimo podobieństwa do przedmiotów i istot w codziennej jawie występujących — mają swoją własną budowę i swe własne ciało z kresek i linii i barw motyllich kunstownie utkane i upostaciowane. Cała tajemnica pięknych kolorowych obrazków w książce dla dzieci polega na tym, że są w nich zamknięte rzeczy i istoty i całe krajoobrazy i światy — na wskroś żywe, mimo że zbudowane z samych tylko kresek i barwnych pigmentów właśnie zawdzięczają one swój byt w wyobraźni dziecka — dokąd je przenoszą wpatrzony w nie i nimi zachwycony, dziecięce oczy.

Świat kolorowych obrazków i rycin w książkach dla dzieci nie jest lustrzanym odzwierciedleniem rzeczywistości na codzień widzianej i nie jest jej wieczną kopią. Tworzy on odrębnie upostaciowaną rzeczywistość, która właśnie dzięki fantastycznej odrębności występujących w niej kształtów i barw staje się światem bajkowo nierealnym światem w którym się wyobraźnia i fantazja dziecka czują w sobie w domu. Obrazki ilustrujące bajki dla dzieci, zdaniem moim, wtedy są dobre, gdy są bardzo żywe i pełne wyrazu, prawie nie realistycznie sugerujące istnienie rzeczywistości jaką przedstawiają, a równocześnie w swej kolorowości i w swej fantastycznej stylizacji bajkowo nierealne.

Zadaniem artystów ilustrujących tematy baśniowe nie jest samo wymalowanie na obrazach tego, co w bajce napisano, lecz stworzenie rycin, które by w swym nastroju stylu i ukształtowaniu były obrazami z baśniowej rzeczywistości. Artysta — malarz (grafik) może kształtować wygląd rzeczy i istot, które umieszcza w rzeczywistości przedstawionej na swych rycinach tak, jak chce; może on uczynić rzeczywistość na obrazkach w książce tak piękną jak potrafi; w końcu on właśnie może wyrysować i wymalować na obrazkach i rycinach

nach światy o różnym wyrazie np. lrycznym lub patetycznym, bolesnym lub pogodnym, trzeźwo realistycznym lub bajkowym. Plastyka — w tej samej mierze co poezja, tylko innymi środkami — zdolna jest tworzyć „poezję” różnego stylu różnego charakteru i różnego nastroju.

Justynka na ilustracji Olgi Siemaszkowej do „Dwunastu z Zapiecka” Janiny Porazińskiej znajduje się niewątpliwie w świecie baśniowym, a nie trzeźwo-realistycznym mimo, że wycinek świata na tym obrazku przedstawionego jest po prostu polem z polskiej równiny polem z drzewami przydrożnymi na dalekim horyzoncie, z zagrodą, chałupą i sadem owocowym w pośrodku i z łąką, na której kwitną rumianki w wysokiej trawie. Na tej łące pasie Justysia swoje gąski.

Zapytajmy, czemu ten obrazek robi wrażenie, jakby pochodził z pięknego zaczarowanego świata? Otóż w „świecie” tym wszystko się melodyjnie komponuje i harmonijnie ze sobą zestrza. W tej rzeczywistości oczka gąsek i oczy Justynki i plamki śliwek na drzewach w sadzie — wspólnie z kwiatami na łące — tworzą jakby rój gwiazdek rozsiadanych w głąb po całej płaszczyźnie pola. W rzeczywistości tej, gromadka gęsi tworzy zamknięty w sobie, dobrze skomponowany motyw wianuszka oczka Justysi — gęsiarecki. Ruch głowy i szyi każdej z gąsek jest inny i inny wyraz, ale wszystkie ruchy wdzicznie komponują się w całość wianuszka. Justynka obejmuje szyć najbliższej gąski gestem poufalitym, czułym i tkliwym. Cały krajoobraz jest skomponowany dookoła Justysi i jej twarzy, po dziecięcnemu zadumanej jak te pola w dal niezmierną uciekającą. Sukienka Justysi też jest gwiazdzista i skupia w sobie dużo gwiazdek; gwiazdzistość obrazka nasycza się i koncentruje w Justysiowej sukience. Główny gąsek są zaciekawione, ruchliwe, rozregane; głowa Justysi i cała jej postać wyodrębnia się spokojem i zadumaniem w sobie. Rzeczywistość tego ślicznego obrazka jest więc rzeczywistością lirycznie tęskną, a zarazem ornamentacyjnie strojną i nierealną. Drzewa śliwkowe w sadzie są schematycznie uproszczone, ale jakież wdzięczne ze swoimi plamkami śliwek; gąski są przesadnie duże w stosunku do małej Justysi a ich dzioby są trochę groteskowo za wielkie. Elementy tańca i muzyki przerstają plastykę tej ryciny. Wianek gąskowy okraja Justysię jak w bajce. Indywidualne wyrazy nadane poszczególnym postaciom współbrzmiają z sobą jak muzyka. Całość obrazka jest jakby wyhaftowana z kresek, punkcików i gwiazdek, jakby po dziecięcemu prosto i prymitywnie narysowana. Ale kunszt tego małego arcydzieła polega właśnie na tym, że w te graficznie uproszczone i przekształcone postaci wstąpiło życie — życie indywidualnego wyrazu, życie ruchu i akcji będącej w toku oraz życia ukształtowań figuralnych, które w swym zestroju brzmią jakby cicha muzyka. Aż tyle życia spotęgowanego zdołało się zmieścić w graficznie nierealnym tworzywie obrazkowym. Ono sprawiło, że powstała konkretna, bajkowo i artystycznie piękna rzeczywistość, w rycinie zaklęta.

Graficy i ilustratorzy, gdy mają prawdziwie artystyczną duszę, stają się czarodziejami.

Stefan Szuman



Ilustracja Olgi Siemaszkowej do „Dwunastu z Zapiecka” J. Porazińskiej

NAWET I CYPRYSY MAJĄ SWE KAPRYSY...

W jednej z ostatnio wznowionych książek znaleźć możemy niebywałe rewelacje przyrodnicze. Mały bohater powieści Jody płynąc łodzią, kiedy chce przybić do brzoza, chwytając ręką zwisające gałęzie cyprysów i przyciąga je ku sobie. Może w Ameryce rośnie chińska a nie śródziemnomorska odmiana cyprysów? A może po prostu za niewłaściwie użytą nazwą zakonspirowały się zupełnie inne drzewa, natomiast Amerykanie znają cyprysy wyłącznie tylko z obrazu A. Böcklina — Wyspa Umarłych?

Zanim zdołamy rozwikłać tę zagadkę książka przynosi nam nowe dziwne. Oto w pobliżu zagajnika cyprysowego rozpociera się wielki rozłóg porośły krzakami gąsawki. Są to krzewy nawet dość okazałych rozmiarów, skoro wśród nich mogą się ukrywać niedźwiadki uciekające przed myśliwym. To jeszcze nie wszystko: w puszczy rosną winogrona, które zakwitają na wiosnę — wbrew zwyczajowi, który każe kwitnąć winorośli, a winogronom pełnić skromną rolę owoców... Dzięki tym osobliwościom puszcza, w której mieszka Jody, przypomina żywo dziwną krainę z wesołej piosenki: „Na dalekiej Ukrainie, gdzie hiszpański żyje lud, tam szeroki Ganęs płynię i Japończyk spija miód...”

Błędy rzeczowe zdarzają się dość często w książkach dla dzieci i młodzieży.

Zgłębienie współczesnej wiedzy sprawia trudność nie tylko laikom, ale nawet i specjalistom w ich własnym zakresie, stąd też zdarza się literatom potknąć się o radar, penicylinę, a czasem i o zwykłą gąsawkę...

A przecież sprawa błędów rzeczowych w literaturze dla dzieci i młodzieży nie jest wcale sprawą błahą. Dziecko z zaufaniem spogląda w książce odpowiedzi na tysiączne nasuwające mu się pytania. Jak w zabawie uczy się ono spełniania późniejszych zadań i funkcji, tak czytając pragnie przyswoić sobie potrzebny zasób wiadomości i pojęć i każdą książkę traktuje jako źródło wiedzy.

Można ułatwić dziecku wejście do skomplikowanego dzisiejszego życia — nie tylko przy pomocy książek popularno-naukowych, ale podając rzetelne wiadomości w formie artystycznej, ciekawej, dostosowanej do jego psychiki.

Czy nie udało by się w tym celu stworzyć stałej współpracy pomiędzy literatami i specjalistami wszelkich dziedzin wiedzy? Specjaliści z łatwością usuną z kart książek wszelkie „kaprysy cyprysów” zaśmiacające niepotrzebnie młode umysły. Specjaliści mogą także do pomocy literatom przy realizacji nowych wspaniałych pomysłów — tak bogatych jak samo życie.

Maria Kann



GDYBY...

(Według S. Marszaka)

Gdyby ze wszystkich na świecie drzew
Zrobić jedno olbrzymie drzewo,
Jedno drzewo pod samo niebo,
A ze wszystkich na świecie rzek
Taką rzekę, że jeden brzeg
Byłby o milion mil od drugiego,
A głęboką — że coś strasznego!
I gdyby ze wszystkich na świecie małp
Zrobić jedną małpę nad małpy,
Taką małpę, że ten, co chciałby
Spojrzeć na nią choć jeden raz,
Musiałby patrzeć przez cały czas.
Całe życie musiałby patrzeć
I co najmniej tysiąc lat żyć!
I gdyby ta małpa aż spod nieba
Zeskoczyła z tego drzewa
Do tej rzeki — tej największej,
I najszerzej i najgłębszej,
Takiej wielkiej, że jej nigdy
Nie obejmie ludzki mózg —
— Jaki to byłby
— Jaki to byłby
— Jaki to byłby
Plusk!!!

Julian Tuwim

O krytyce widowisk dla dzieci

Teatr dla dzieci ma wychować nowego człowieka i wrażliwego widza teatralnego. Przed pracownikami teatru dla dzieci stoi więc nie byle jakie zadanie. Zadanie tym trudniejsze, że prawa rządząca tym teatrem dla dzieci nie są dziś jeszcze ustalone i teatr ten znajduje się jeszcze ciągle w stadium eksperymentu.

W tym stanie rzeczy ogromnie ważne byłoby znalezienie platformy porozumienia się z krytyką teatralną obok znajomości zespołu elementów teatralnych, jakimi są gra aktorska, reżyseria, muzyka, malarstwo itp. będzie posiadał również zainteresowanie dla spraw wychowawczych. Zadanie krytyka w teatrze dla dzieci jest bardzo trudne. Nie wystarczy tu bowiem znajomość warsztatu teatralnego i własne obserwacje i przeżycia, które w następstwie stanowią podstawę do napisania recenzji o widowisku. Krytyk musi wziąć pod uwagę oprócz własnych przeżyć przeżycie odbiorcy, dla którego sztuka jest przeznaczona, tj. przeżycie dziecka. Tak zwane reakcje, w których się te przeżycia ujawniają, wcale nie są łatwe do uchwycenia. Widownię dziecięcą bywają bardzo różne. Niektóre składają się z dzieci, niekiedy już oswojonych z teatrem. Inne wypełnione są dziećmi, które przychodzą do teatru po raz pierwszy. Bywają widownie niejednolite pod względem wieku oraz złożone z dzieci wyłącznie młodszych lub wyłącznie starszych. Bywają widownie tzw. niejednolite, kiedy dzieci przychodzą

do teatru w towarzystwie opiekunów i widownię wypełnione przez jednolite grupy dzieci ze szkół, z domów dziecka itp. Każda z tych widowni inaczej reaguje, przy czym niewielka jest ilość łatwo uchwytanych reakcji dziecka. Krytyk widowisk dla dzieci musi posiadać wprawę i pewną umiejętność właściwej interpretacji danej reakcji. Tak np. rozmowa dzieci podczas widowiska niekiedy nie musi być wyrazem nieuwagi, lecz często nawet przeciwnie wyrazem dużego zainteresowania. Dzieci młodsze reagują bardziej bezpośrednio, zaś widownia starsza jest bardziej powściągliwa, zbliżona do widowni dorosłego widza. Wydawałoby się, że reakcja objawiająca się w śmiechu jest łatwa do uchwycenia, ale i ta nie zawsze przebiega typowo. Mogą istnieć najrozmaitsze przyczyny stłumienia przez widza swoich przeżyć i wrzusek. Nawet kwestia frekwencji w teatrze nie jest tu bez znaczenia. Przy wypełnionej po brzegi sali widownia reaguje żywiej i śmieje. Przy małej frekwencji reakcja widowni jest przytłumiona. Krytyk w teatrze dla dzieci musi być dobrym obserwatorem, którego uwagi nie ujdzie taka czy inna przyuczyna stłumienia reakcji.

Często słyszy się zdanie, że na widzach dorosłych można sprawdzić, czy dane widowisko osiągnęło wysoki poziom artystyczny. Jeżeli bowiem widz dorosły nudzi się, patrząc na przedstawienie dla dzieci, to znaczy, że jest ono artystycznie mało wartościowe. Oczywiście, że każde widowisko, będąc dziełem sztuki, musi zainteresować wrażliwego widza dorosłego, ale miernik ten niewłaściwie stosowany może prowadzić do błędnych

wniośków. Stosowanie przez krytyków powyższego kryterium stawia często reżysera w kłopotliwej pozycji. W teatrze dla dzieci scena i widownia są bardzo ściśle ze sobą związane. Śmiech, westchnienie, jakaś słowna wypowiedź czy cisza, jako reakcja widowni, stanowi właściwie składową część widowiska, którą na ogół reżyser przewiduje i zostawia dla niej miejsce podczas biegu akcji. Tak zwane „puste miejsca”, które wypełni reakcja widowni są w widowisku dla dzieci konieczne. Bez tej niejako współpracy widowni ze sceną przedstawienie jest niepełne. Krytyk teatralny, który nie weźmie tego pod uwagę, może widowisko uznać za rozwlekłe, a nawet pozbawione właściwej dynamiki sceniczej. Mimo, że teatr dla dzieci posiada już u nas pewną tradycję i grono doświadczonych pracowników, podstawy jego istnienia są zbyt słabe, a publiczność zbyt mało wyrobiona, by mógł pracować w zupełnej niezależności od krytyki teatralnej. Reżyser w obawie przed ujemną oceną rezygnuje często z właściwej drogi postępowania. W ręku krytyka leżą ogromne możliwości konstruktywne. Dla normalnego rozwoju i skierowania pracy na właściwe tory niedozwolne się staje zbliżenie krytyki do spraw warsztatu teatru dla dzieci.

Jeżeli prześledzimy recenzje o teatrze dla dzieci na łamach prasy codziennej czy nawet specjalnej, zauważymy, że nie istnieje prawie widowisko dla dzieci, które by nie miało przynajmniej kilku recenzji. Jest to zjawisko bardzo wymowne. Dowodzi ono, że coraz częściej premiery w teatrze dla dzieci stają się dość poważnym wydarzeniem w życiu kulturalnym naszego kraju. Warto się bliżej przyjrzeć tym recenzjom.

Lojalnie trzeba zaznaczyć, że stosunek recenzentów do teatru dla dzieci jest na ogół życzliwy i krytyka dość przychylna, ale niestety niedostatek poważna i poza nielicznymi wyjątkami zupełnie nieefektywna. Recenzje o teatrze dla dzieci można z grubszą podzielić na trzy rodzaje.

Pierwszy, przeważający ilościowo, posiada jedynie charakter wzmianek rejestracyjnych - reklamowych, zamieszczanych grzeszczącowo przez prasę i jako taki nie może tu być wcale brany pod uwagę.

Drugim rodzajem, którego znaczenia w obecnej fazie wykluwania się

niejako teatrów dla dzieci nie można nie doceniać, pośredniczą między teatrem a odbiorcą (mowa tu oczywiście o opiece dziecka — rodzicach czy wychowawcach), przeprowadzając selekcję między lepszym i gorszym gatunkiem widowiska. Te ostatnie recenzje, na ogół pozbawione analizy i uzasadnienia, mogą wteń spełniać swoje zadanie, jeżeli widz ma zaufanie do smaku artystycznego recenzenta lub do poziomu prasy, w której recenzja została zamieszczona. Ci z nielicznych krytyków, którzy potraktowali zagadnienie poważnie i mieli odwagę przyznać się do zajmowania się tym „dzieciennym” zagadnieniem, zadokumentowali choć współdziałania z teatrem dla dzieci.

Artykuły te są często opatrzone podpisem jakiegos autorzytetu, który podchodząc niepowważnie do zagadnienia, wyraża w sposób niejako protekcyjny sądy o teatrze dla dzieci.

Dla przykładu przytoczę wyjątek z tego rodzaju recenzji: „Tematem jest podróz dwu Michałów z piosenki, naokoło świata — dająca zarówno wafki pedagogiczne (!) jak i egzotyczne. Tekst wprowadza nieco naiwny, ale tym właśnie dla dzieci sposobny (!)”. I dalej: „Ilustracja muzyczna... o charakterze rewolucyjnym stawała może zbyt wielkie wymagania zespółowi...” (podkreślenia aut.). Niedłokrotnie artykuły takie podając sądy niezgodne z normami estetycznymi, których teatr już się dopracował, podważają w ten sposób z trudem osiągnięty dorobek teatru. Tak było np. ze sprawą udziału małych dzieci w przedstawieniach.

W artykule niniejszym nie ma miejsca oczywiście na omawianie recenzji pisanych przez dzieci, których wypowiedzi mogą być tylko rozpatrywane jako materiał do specjalnych badań teatrolingwistycznych.

Na zakończenie należy jeszcze omówić jedną z bolączek teatru dla dzieci. Otóż we wszystkich prawie recenzjach, aktor pozostaje bezimienny i to nawet wtedy, kiedy „spełnia swoją rolę bez zarzutu”. Nie jest to sprawa dla teatru obojętna. Stałe pomijanie nazwisk aktorów w recenzjach jest niejako postępowaniem ich pracy i utrudnia zbliżenie ich do teatru dla dzieci. Należyta ocena wysiłków mogłaby w znacznym stopniu wpłynąć na poprawę ličnosti i jakości zespołów aktorskich teatrów dla dzieci.

• Klima Krymkowa

Dorośle spojrzenie na dziecięce sprawy

Pomoc świadczona dziecku przy odbieraniu wartości kulturalnych jest bezsporną i oczywistą potrzebą, ale młodzież w okresie, kiedy wychodzi już z lat drugiego dzieciństwa, a jeszcze nie przeobraża się w krystalizowany typ młodzieńcy — często bywa pozostawiana na uboczu, jakby była samowystarczalna i samodzielnie wkraçała w szeregi ludzi dojrzałych. A tymczasem ten właśnie okres — jest dla młodzieży najtrudniejszy i decydujący nie raz nieodwołalnie o dalszych losach. Trudność znalezienia własnego „miejsca na ziemi” i własnego „miejsca pod niebem”, co jest w dużym stopniu treścią tych dni, wymaga pomocy bardzo czulej i — bardzo dyskretnie. Książka w tej fazie rozwoju ma znaczenie niepowtarzalne, jest narzędziem niezmiernie ważnym, trochę niedocenianym i — raczej zaniedbanym.

Sposób podchodzenia do dziecka i do młodzieży w każdym okresie wieku, jeśli ma dać wartościowe wyniki wychowawcze, musi być nie „dziecinny”, ale „dorosły”. Dziecko nie znosi, by je traktować jak dziecko, traktowanie natomiast po dorosłemu — staje się podatniejsze na wpływy, bardziej plastyczne i pełne nieograniczonych możliwości oraz nieprzewidywanych niespodzianek. Jest wtedy szczęśliwe, a nawet, wydolność jego we własnych oczach rośnie i rozszerza się, nabiera ono krzepiącego poczucia, że jest potrzebne i pożyteczne i nade wszystko, że nie jest „inne”. Więź, która spaja społeczność dziecięcą, wiąże je w ten sposób od razu ze społecznością dorosłych, co staje się podobem dla jednolitych oddziaływań kulturalnych i wytworzenia jednolitego oblicza społeczeństwa. Dziecko traktowane jak człowiek, dziecko może wydobyć z siebie to, co trwałe, ogólnoludzkie, nie zostaje zawieszone w próżni, ale właściwe jest w ogólny organizm życia społecznego, jako niezbędny i pożyteczny element, podlegający tym samym prawom i przywilejom, co dorośli. Oddziaływanie kulturalne na dziecko musi dokonywać się za pomocą tych samych bodźców, co u dorosłych, tylko siłę jego, częstość zetknięć, dawkanie należy dostosowywać do poziomu młodocianych odbiorców.

Wychodząc z tych założeń trzeba stwierdzić, że literatura dla dzieci i dla młodzieży stanowić musi literaturę tej samej kategorii i tej samej wartości, co literatura dla dorosłych, ale innego wymiaru — na zasadzie selekcji tematycznej i formalnej spośród elementów literatury pełnowartościowej. Jednorodność psychiki czytelnika młodocianego i czytelnika dorosłego wymaga jednorodnego ukształtowania literatury. Na tej drodze rozwój psychiczny i intelektualny przez nią spowodowany, będzie związany z

możliwościami recepcyjnymi czytelników, a jednocześnie pozwoli na pełną realizację społecznej funkcji literatury.

Dobór odpowiedniej tematyki jest zależny od zainteresowań i zamiłowań młodzieży: od założeń ideologicznych i wychowawczych. Problemy muszą być żywotne i — zrozumiałe, ale nie w sensie łatwego rozumienia, gdyż przyzwyczajanie do łatwizny jest wartością wychowawczą ujemną, ale w sensie zgodności z kategoriami myślowymi dzieci i młodzieży. Zagadnienia nie powinny być pomniejszane, ale ukazywane w aspektach, dostosowanych do pojemności psychicznej dziecka i do jego doświadczeń. Droga od operowania realiami ku coraz bardziej abstrakcyjnej problematyce musi być prowadzona z rozmysłem, w skali proporcjonalnej do skali dorosłych i nie deformującej rzeczywistości — dla dziecka.

Forma literacka stanowi o tym, czy literatura dla dzieci i młodzieży jest literaturą, czy też zgola grafomańskim wypowiedzianiem się o rzeczach zdawkowych i banalnych. Nieliteracka forma książek dla dzieci wynika m. in. z niepoważnego traktowania młodych czytelników, z poniżającego pozbawiania ich niedoskonałych zdolności „czytania”, a także z braku zrozumienia, że literatura dla dzieci i młodzieży jest drogą — ku wielkiej literaturze. Bez wyrabiania od najmłodszych lat smaku literackiego i wrażliwości na formę — nie będzie osiągnięty nigdy właściwy poziom czytelnictwa masowego. Fakt ten wynika ze ściślejszej współzależności oddziaływań kulturalnych na wszystkich stopniach rozwoju i we wszystkich środowiskach. Literatura dla dzieci i młodzieży musi posiadać walory literackie ograniczone nie się do zwykłej poprawności formy, działa destrukcyjnie i sprawia, że książka nie stanowi pełnowartościowego bodźca.

Zagadnienie literatury dla dzieci i młodzieży w ogólnym kręgu spraw kulturalnych, stanowi spłot trzech rodzajów oddziaływania: za pomocą książki: lektury indywidualnej, lektury szkolnej i poza — szkolnego obcowania z wielką literaturą oraz ze spłotem spraw, związanych z postawą autora, wydawcy, krytyka, bibliotekarza i nauczyciela. Literatura dla dzieci i młodzieży powinna więc być rozpatrywana, jako zjawisko literackie, jako środek oddziaływania o wielkim znaczeniu społecznym i jako przedmiot recepcji. Bowiem „dorosłe” traktowanie tej literatury doprowadzi ją do takiego ukształtowania pod względem tematycznym i formalnym, że spełni ona istotnie swą funkcję wychowawczą i społeczną.

Aniela Mikucka

Szkoła krytyków

STRZAŁY ZA PŁOT

Zagadnienie dostępności języka literackiego sprowadza się zatem głównie do sprawy dostępności języka krytyki i polemiki literackiej. Nie sprowadza się wszakże w sposób wyłączny. Pomiedzy językiem twórczości a językiem krytyki i polemiki pewnego okresu zachodzi ścisła zależność. W tym znaczeniu, że język drugi bywa określany, bywa wyznaczany przez język twórczości. Wdzieliśmy to na przykładzie Młodej Polski. W tym ostatnim odcinku pozostaje kwestię rozpatrzyć w jej wyglądzie dzisiejszym.

Język współczesnej polemiki literackiej i krytyki wyznaczyły przede wszystkim nowatorskie i eksperymentalne właściwości prozy, a szczególnie poezji okresu międzywojennego. Krytycy, starając się nadążyć za nimi, czynili to komplikując swój język, kując nowe terminy, nadziewając erudycyjnymi ukladkami własny wykład. Te antybarokowe i upraszczające filtry, które działały w prozie, nie zostały włączone w mechanizm języka krytycznego. Prozaik, który odczytywał się psuchoanalizy wprowadzał do poezji nabytą wiedzę, był w lepszym położeniu aniżeli krytyk. Mógł tę wiedzę rozpylić w atmosferze książki, nie musiał jej nazwać wprost. Krytyk musiał za niego nazwać. Tak było przy wszystkich skomplikowanych obrotach ówczesnej literatury, a rzecz to zrozumiała, że krytyka wędruje przede wszystkim tam, gdzie znajduje dla siebie interesujący żer. Węszy, kiedy o innych swoich obowiązках zapomni.

Czy tylko i wyłącznie z winy krytyków język nabrał pretensji bardzo filozoficznych? Jedynie do pewnej granicy. Do jakiej — wskazuje najwspanialszy przykład. Gdyby w dzisiejszym ukladzie pism literackich szukać grupy, gdzie żęby można polować na wykładzie usiłującym wyjaśnić, dlaczego dany pisarz jest trudny i niejasny — jedno pismo niewątpliwie prowadzi: *„Wiś”*. Błada tobie, czytelniku nie tylko

spod strzechy ale i z bloku z winą oraz centralnym ogrzewaniem, który się skusisz na tytuł!

Piszą tam jednak najtrudniej, usiłują bowiem przychwycić niepochwyczonego dotąd motyla: socjologiczną interpretację dzieła literackiego skojarzoną ze zrozumieniem społecznej wymowy form artystycznych. Ledwo próbując streścić, już ich mową zaczynamy gadać. Na takiego motyla konieczna jest bardzo skomplikowana siatka, ukrecona z nowych włókien i węzłów. Z nowych terminów i określeń. I chociaż nieraz sam łowca trzepie się, schwytywał w to, co namiętnie, a motyl fruwa na swobodzie — trudno, nie ma rady. Tworząc nowe sposoby poznawania literatury, krytyk płaci często myto trudnego języka. Jeżeli to myto okazuje się niekiedy lichwą, też nie jego wina: widocznie nie było na co polować...

Więc bywa to konieczne i niemniej bywa zdradliwe. Bo w tym wysiłku motyli i siatek opóźniają się zazwyczaj siatki. Siatki dzisiejszych krytyków są najwyraźniej przysposobione nadal na potłów motyli międzywojennych. Są bardzo skomplikowane właśnie dzisiaj, kiedy wlatują w nie problemy nader dotkliwe i obchodzące nie tylko fachowców od literatury, lecz wszystkich czytelników. Kiedy w dodatku sama znajomość humanistycznych motyli tak miernie się przedstawia, jak o tym pisało się pod hasłem — czerep, erob i szczęzują.

Tej nowej współzależności pomiędzy językiem twórczości a językiem krytyki nie zbudują sami krytycy i organizatorzy życia literackiego. Nowy taki język jest czymś na podobieństwo procentu od nowych zagadnień, od nowego typu życia literackiego, od przrostu nowych ludzi niezarażonych panującą modą. Sprawa jest wspólna dla pisarzy i krytyków. Bo nie ma mętnych problemów. Istnieją tylko mętne głowy, a te podzielone są sprawnie. Pomiedzy pisarzami, pomiedzy krytykami, czytelnikami również.

Ala sprawa też wykracza poza zasięg życia literackiego. Dlatego tak długo się ją gruntuje, pisząc o języku nauk ścisłych i przyrodniczych, o pryncypach niemożności czytelnika wobec terminologii humanistycznej. I obecnie dwa końcowe strzały czyli wnioski muszą być wymierzone poza opłotki czysto literackie.

1. Dziennikarzom należy spuścić dobre baty. Bo jeden dziennikarz prymitywnym niechlujstwem języka i polszczyzny przynosi więcej szkód, aniżeli dziesięciu krytyków. Mętnego krytyka w najgorszym dla niego wypadku przesłania czytać. Mętny dziennikarz jest jak przedział z pluskami. Wszyscy je z podróży do domu przynoszą. Bo przedziałów i gazet używają wszyscy. „Miano wielkich pisarzy nada im dopiero rzut oka z pewnej perspektywy” — napisał pewien student i nie trudno odgadnąć, gdzie tej mowy się nauczył. „Rozwój literatury” niemieckiej przechodzi różne fazy swego rozwoju, zależnie od epok — napisał jego kolega.

2. W szkołach ogólnokształcących wprowadzić należy naukę podstawowych terminów przynależnych do dziedziny orientacji humanistycznej. Uczeń dawniejszy, który otrzymywał wykształcenie klasyczne, zasób tych terminów nabywał niejako po drodze, nie wiedząc kiedy. Ucznia dzisiejszego trzeba wdrożyć specjalnie. Winien to uczynić polonista lub nauczyciel wiedzy o Polsce współczesnej. Jeżeli tutaj, od samego gruntu niebezpieczeństwo nie zapobiegniemy, za dziesięć lat będą lincowali krytyków za słowa chemia, ekspresja i forma. A my chcemy żyć.

3. Dlaczego propozycja ostatnia? Tunele przebijają się od obydwu wyłotów równocześnie. I kiedy zaczynamy wiercić tunel ku czytelnikowi, trzeba ażeby od przeciwniej strony zaczęto bić również tunel ku zagadnieniom ogólnie humanistycznym i literackim. I według wspólnego planu, bo inaczej możemy się w ogóle nie spotkać.

kjw.

Książki • Książki • Książki

BELETRYSTYKA

„ZIELONE LATA”

A. J. Cronina

Powieść. Katowice, Wydawnictwo Awir, 1948, str. 292.

Dzięki wydanej przed wojną, a obecnie wznowionej „Cytadeli” Cronin zyskał u nas znaczną popularność. Nowa jego książka „Zielone lata” również może na poczynności liczyć. Zastępuje ją nie zresztą. Ta opowieść o dziejach młodego chłopca, wychowującego się w małym miasteczku, ubogiej rodzinie szkockiej, odznacza się solidnością pisarskiego rzemiosła, żywo zarysowanym tłem obyczajowym, interesującą akcją i kilkoma doskonale skomponowanymi sylwetkami. Tematycznie jest to jeszcze jedna wersja często spotykanego w literaturze motywu małego sieroty, który pomimo wielu trudności zewnętrznych i wewnętrznych wyrasta wreszcie na wybitnego człowieka. Cronin umie nas przekonać, że jego bohater, warty i nieśmiały Robert Shannon, urzeczywistnił swoje pragnienie i zostanie znakomitym biologiem. Optimizmem oraz wyrozumiałością i z lekką zaprawionym humorem stosunkiem do ludzkich słabostek przypominają „Zielone lata” w najlepszych swych partiach klimat dickensowskiego „Dawida Copperfielda”. W całości książka wartościowa, reprezentująca najlepszy poziom tzw. drugorzędnej powieści. Przekład niestety słaby.

Feliks Malecki

Jerzy Andrzejewski

„ŻYWOT WŁASNY”

Benvenuta Celliniego

przekład Leopolda Staffa

Warszawa, „Wiedza”, 1948; str. 352.

„Żywot własny” Benvenuta Celliniego należy do książek, które zwały się ze sztuką Odrodzenia. Cellini, jako znakomity złotnik i rzeźbiarz, twórca „Perseusza”, posagu „Narcyza” jest w sztuce osobistością reprezentatywną. Jest też bardzo charakterystyczną postacią dla epoki Renesansu. Awanturnictwo jego, więzienie, miłostki, pobyt na dworach, udział w różnych ówczesnych wydarzeniach sprawiają, że pamiętnik ten czyta się jak ciekawy, pouczający twór beletrystyczny-histeryczny. Leopold Staff, znakomity poeta przełożył zapewne ten „Żywot własny” Celliniego dla tych niezwykłych walorów narracyjnych. W przedmowie „od tłumacza” dowiadujemy się, co pociągnęło poetę — laureata do spolszczenia tego pamiętnika.

Z brawurą, jaką cechowała tego wspaniałego awanturnika w życiu i sztuce, podjął ten homo illiteratus

Notatnik muzyczny

Muzyka na peryferiach stolicy, upowszechnienie w „Romie”

Przedmieścia wielkich miast są smutnym dziedzictwem bezplanowego opuszczenia wśród którego dzielnice te powstały w XIX-tym wieku i odtąd pozostawione zostały własnemu losowi. Dlatego to, urbanistyczne plany teraz dopiero muszą się do peryferii stołecznej dobierać.

Na odcinku kulturalnym Wydział Kultury i Sztuki Zarządu Miejskiego podjął się przeprowadzenia ciekawie pomyślanej akcji społecznej. Z naczelnikiem tego wydziału, ob. Rórichow, kierownikiem sekcji muzycznej ob. Czudowska i wicedyrektorem departamentu muzyki dr. Lisss wybrałem się w towarzyszyście recenzenta muzycznego „Robotnika” T. Marka, na obchód koncertów dzielnicowych, których aż siedem odbyło się zeszłej niedzieli w Warszawie.

Mało się o tej akcji mówi, pisze i wie. Sam zdumiony byłem, że aż tyle koncertów, przeciętnie 4 tygodniowo odbywa się na przedmieściach Warszawy. W ostatnim sezonie, od października, zorganizował ich Zarząd Miasta przeszło 70 na Pelcowiznie, Bródnie, Kole, Służewcu, Powiślu, Woli, w Anopolu i Grochowie. W salach szkolnych, gimnazjalnych i związkowych koncerty te gromadzą dzieci, młodzież i dorosłych i cieszą się na ogół, ogromnym powodzeniem. Widziałem w zabudowaniach wycisgionych natłoczona salę na Służewcu widziałem w szkole powszechnej dzieci głoszące za powtórny wykonaniem piosenek Lutostawskiego do słów Tuwima. W koncertach tych biorą między innymi udział artyści tacy jak: Śpiew:

dział piarskie, w którym otworzył w sposób mistrzowski przebudowę, współczesne życie miast i dworów, książką i papieżu, warsztatów i pałacy, pracy i swawoli, pokoju i wojen, życie nacechowane taką prawdą, że nawet łatwo każdemu widoczną przesadą, próżnością, zarozumiałością, zazdrością i stronniczością autora, zamiast ująć jej czegoś, podkreśla tylko kontur charakteru jego samego jak najwierniej.

Warto jest wyjaśnić, iż „Żywot własny” B. Celliniego obejmuje lata od 1500 — 1562 r. Zmarł on we Florencji w 1571 r. O 1557 — 1558 latach przemilczał, gdyż siedział w więzieniu za pobicie i za homoseksualizm. Nie miał się więc czym chwalić. Cellini siedział również w więzieniu za mord i kradzież kruszców. W ogóle w epoce owej fortuna zapomniała niekiedy, że ten awanturnik był wielkim rzeźbiarzem i złotnikiem. W madyryckim Eskorialu chroni się do dziś krucyfiks, dzieło jego dłuta. Solniczka Franciszka I uchodzi za arcydzieło sztuki stosowanej. We florenckiej Loggii stoi na chwałę i podziw Celliniowski „Perseusz z głową Meduzy”. Louwr paryski przechowuje słynną płaskorzeźbę pt. „Nimfa z Fontainebleau”. „Żywot własny” Benvenuta Celliniego przynosi wiele materiału obyczajowego, charakterystycznego tak artystę, jak i epokę, w której żył i działał. Przekład Leopolda Staffa zasługuje na wyróżnienie.

Feliks Malecki

PLASTYKA

„ARTUR GROTTGER” i „JULIAN FAŁATA”
Mieczysława Wallisa

Warszawa, „Wiedza Powszechna”, 1948; str. 24 i 16.

Redakcja „Wiedzy Powszechnej”, jako 91 i 137 zeszyt swoich wydawnictw rzuciła na rynek księgarski dwie cenne, zwarte monografie artystyczne, poświęcone twórczości Artura Grottgera i Juliana Fałata. Autorem obu tych prac jest docent historii sztuki uniwersytetu łódzkiego dr Mieczysław Wallis. Nie trzeba dowodzić potrzeby tych publikacji. Twórczość Artura Grottgera należy nie tylko do historii malarstwa naszego. Jego kartony „Polonia” i „Lituania” są trwałymi elementami kultury narodowej. Mieczysław Wallis zamieścił w pracy swojej reprodukcje z obu tych cyklów. Biograficzne informacje, najniezbędniejsze artystyczne i historyczne komentarze wiążą się zresztą w barwny, zajmujący wykład. Jest to popularyzacja artystyczna o podkładzie społeczno-wychowaw-

cym. Można ją dać do rąk szkolnym, świetlicom, w ogóle wszelkiemu czytelnikowi. Wallis kończy swoją pracę o twórcy „Warszawy”, „Lituanii” i „Polonii” słowami:

„Cykle te wyrosły z intensywnego przeżycia tragedii powstania styczniowego i same z kolei oddziaływały na dalsze dzieje narodu polskiego. Rysowane krwią serdeczną, wywoływały natychmiastowy potężny oddźwięk w sercach polskich”.

Monografijska o Julianie Fałacie jest cennym nabytkiem naszego piśmiennictwa, popularyzującego historię polskiej sztuki. Kariera Fałata „ma w sobie coś z baśni”, jak pisze Wallis. Syn wiejskiego organisty z Tuligłowa, rektor Akademii Sztuk Pięknych w Krakowie do końca życia zachował prostotę, godność i wdzięk wielkiego artysty i człowieka. Gdy na łamach „Świata” rozpoczęły się ukazywać jego pamiętniki — wzbudziły powszechną sensację. Fałat mówił w nich całą prawdę o sobie. Wallis celi trzy wyjątki z tego pamiętnika. Rreprodukcje dzieł Juliana Fałata nie dają całkowitego pojęcia o mistrzostwie jego pędzla. Dopiero barwa oryginału uwypukliła walor malarski dzieł Fałata.

Hieronim Waliszewski

JUŻ UKAZAŁ SIĘ W DRUKU
WYCZERPANY PODRĘCZNIK

St. Jodłowski i W. Taszycki

ZASADY
PISOWNI POLSKIEJ
I INTERPUNCJI

ze słownikiem
ortograficznym

Wydanie siódme

Stron 264 Cena zł 260,—

W R O C Ł A W

Wydawnictwo Zakładu Narodowego
im. Ossolińskich
1948

Zatwierdzony przez Ministerstwo
Oświaty do użytku szkolnego

DO NABYCIA:
w Wydawnictwie Zakładu Narodowego im.
Ossolińskich — Wrocław, Plac Solny 13,
w Księgarni Zakładu Narodowego im. Ossolińskich — Kraków, Podwale 5 i we wszystkich księgarniach

Teatr

Melpomena w nowym gnieździe

Teatr „Studio” w Warszawie. „Lisie gniazdo”. Sztuka w 3 aktach Lillian Hellman. Przekład Joanna Poraska. Reżyseria: Karol Adwentowicz. Dekoracje: Tadeusz Błażejowski.

Wszyscy się teraz zajmują kulturą. Najroźniejsze instytucje i urzędy tworzą kulturalne placówki i komórki. Często z ogromnym nakładem kosztów. Powstała w Warszawie Sala Koncertowa Ministerstwa Bezpieczeństwa. Wczoraj sam byłem w teatrze „Studio”, mieszczącym się w sali, która rozporządza Główna Komenda Milicji Obywatelskiej. Powinnowałem i I to nie tyle kulturze, co Bezpieczeństwu i milicji. Stanowczo powinnowałem i pomyśleć o jakimś rewaniu ze strony artystów. My teraz powinnowyśmy z kolei wejść na niwę uprawianą zwykle przez przedstawicieli służby bezpieczeństwa i stworzyć jakąś komórkę przeznaczoną dla nich. Pozostawiając klucz od tej komórki w swoim ręku.

Ala powróćmy do „Studio”. Czasowo objął je Karol Adwentowicz, który tuła się i tuła, i w nowym życiu teatralnym nie może zająć miejsca, na które sobie zastrzegł wiekoletnia społecznie postępową pracą na scenie. W „Studio” znowu widzimy go w ramach niezupełnie godnych jego wielkiego talentu. Takie gospodarowanie Adwentowiczem, jednym z nieliczonych z wielkiej Plejady, których oszczędziła wojna, jest marnotrawstwem. Bez względu na to, czy to on sobą tak gospodaruje, czy też w ten sposób gospodarują nim miarodajne czynniki.

„Studio” zadebiutowało sztuką Amerykanki Lillian Hellman, z którą Adwentowicz zapoznał nas przed samą wojną, wystawiając jej „Niewiniątko” w teatrze „Kameralnym”. „Lisie gniazdo” jest ciężkim oskarżeniem plutokracji amerykańskiej. Zławsza ciężkim pod względem artystycznym. Autorka kieruje je pod adresem Południa. Znowu mamy na scenie Murzynów i beztroskich fabrykantów, tak jak w: „Głęboko sięgają korzenie”. Ale „Korzenie” przywołał nam z Ameryki Ryszard Ordyński. „Lisie gniazdo” natomiast nie ma tych walorów, które czyniły z „Korzeni” utwór sympatyczny. Jest i niedołażne i nieumiarkowane. Opowiada o bogaczach z Południa rzeczy nie do wiary. Każę im się okradać i zabijać, oszukiwać i policzkować w najbliższym rodzinnym kółku. W to wszystko ostatecznie można uwierzyć. Ale trudno uwierzyć, że by ci bogacze mogli mówić ze sobą w równie otwarty i cyniczny sposób. Gdzieś podstawowa właściwość wszystkich warstw panujących całego świata: gdzie obowiązuje w takich wypadkach obłuda? Klan Hubbardów morduje ludzi z potrzeby, a dla przyjemności strzela zwierzęta, polując na nie od lat, dzień w dzień rano. Zwierzyń zabijają sam nie spożywa, wzbrania jej również wygłodniałym Murzynom. Jednym słowem sam nie je i drugiemu nie daje. Wszystko to z nieludzkiej złości! Autorka „Lisiego gniazda” każe się swoim plutokratom odświeżać moralnie ze wszystkich stron. Widać, że utwór powstał z szalonej pasji. Pani Hellman czu-

je do bogaczy z Południa wielką nienawiść. Tak jak wszystkie wielkie uczucia, ta wielka nienawiść musi u nas budzić szacunek, ale nie do tego stopnia, by produkt tej nienawiści musiał w nas budzić zachwyt. Wszystko w tym „Lisim gnieździe” jest sztuczne. Wypadki, postaci, postępy, słowa. Nawet naczelnym zarzut stawiany w tej sztuce Hubbardom, nie trzyma się kupy. Autorka czepia się ich o to, że chcą na Południu wybudować fabrykę, zamiast, jak było dotychczas eksportować surowiec na Północ. I to ma być ich diaboliczna intryga pomyślana na szkodę miejscowej ludności? Ej! Przecież właśnie dzisiaj setki punktów naszego globu walczą o to, żeby dla dobra terenu przeróbka surowców odbywała się na miejscu. Coś się wyraźnie pokreśliło Amerykance. Z tego rodzaju precyzyjną informacją można w najlepszym razie pisać do nienawistnika na milicję, ale w żadnym razie sztuki. Nawet przeznaczona dla scen pozostających pod wyżej wspomnianym protektorem.

Adwentowicz w „Lisim gnieździe” zagrał jedyne sprawiedliwe. W trzecim akcie znalazł dla siebie kasek: konał na serce, świadom tego, że jego nieludzka żona na palcem nie ruszy, by mu podać lekarstwo. Od lat Adwentowicz lubuje się w podobnych rolach, w rolach starszych panów, którym straszną szkołę dają ich potworne małżonki. Z reguły podziwiam te kreacje, ale kiedy je tak podziwiał, coś mnie zawsze korci. Po prostu chęć żeby zobaczyć jeszcze jednego, Adwentowicza w roli nie z jego złotej serii, ale na przykład w jakimś „Brzydkim Ferrante”, gdzie był tak genialnie komiczny.

W pozostałych rolach Elżbieta Łabuńska, doskonała jako romantyczna alkoholiczka Aldona Jasińska (tym razem na czarno, Feliks Chmurkowski, budzący grozę jako głowa rodu Hubbardów. Alicja Kamińska i Edmund Fidler, sympatycznie zagrana para młodzianków z tego klanu oraz Jerzy Dargiel jako milioner z Chicago. Regina Giddens Ireny Grywińskiej była wielkim nieporozumieniem. Trudno w nią było uwierzyć jako w przyszłą lwicę salonów Chicago, a jeszcze trudniej jako w morderczynię własnego męża. Nie dlatego, by robiła wrażenie osoby tak dobrej, ale dlatego, że robiła wrażenie osoby tak bierniej. Przekład brzmiał potoczysko. Czy był wierny, trudno osądzić bez oryginału. Podejrzewam jednak, że dzieci ludzi bogatych, którzy zamykają dom na zimę, nie spędzają tego czasu w „pensjonatach”, ale w internatach.

Mieczysław Jastrun

Tadeusz Breza

XIĘŻNICZKA IZRAELSKA

(Dokończenie ze str. 3)

słam się i powiedziałam więcej niż trzeba, więcej niż myślę, słowa są niewierne i ponoszą nie wiadomo dokąd, dalej i szybciej niż myśl. To nie prawda, że głos myślowy kłamie, to myśli kłamią głosowi!

— Chciałabym ci dać jedną radę, Xawero, nie myśl o tych rzeczach. Kiedy byłam małą dziewczynką powtarzałam słowa pacierza, nie myśląc, co znaczą. Odtąd w ciężkich chwilach wracam do tego dzieciennego sposobu. Wtedy zrozumiałam, dlaczego matka często przebiegała paciorki różańca, szepcząc jakąś modlitwę. Ton czysty, zdobyć można bez tak wielkich walk i udręceń, przez które przechodzą nasi bracia i siostry. Ja wolałam, żeby w Kole naszym wszystko działało się łagodnie, ciszej, bardziej po chrześcijańsku. Przywiązuję dużą wagę do różnych

małych znaków i talizmanów. Nie rozumiem cię, Xawero, dlaczego nie dalaś bratu Ferdynandowi medalika, dlaczego odmówiłaś siódmej Celinie poświęconego w Ostrej Bramie szkapierza? Bracia i siostry zadają sobie wzajem cierpienia, których można by uniknąć. Śpiewają się wzajemnie, jakby to był urząd policji. Mistrz Andrzej tego nie chce i nie pochwala.

— Mistrz Andrzej... powiedziałam, jakby do siebie, Xawera i umilkła, gdyż nagle uchyliły się drzwi i weszła Celina. Oczy jej były otwarte szeroko, ale oczy te nie widziały. Szła przez izbę, przed siebie, powoli, jakby powietrze stawiało jej opór. Ominęła obie kobiety obojętnie, jak omija się przedmioty i zniknęła w drzwiach prowadzących do drugiego pokoju.

Mieczysław Jastrun

Tadeusz Breza

Czy jesteś już członkiem

Klubu Literackiego

„ODRODZENIA”?

WYWIAD Z AUTOREM »ZACZAROWANEJ DOROŻKI«



rys. Marek Rudnicki

— Co sądzicie, Ildefonsie o perspektywach trzeciej wojny?

— Wojna jest tyfusem byznesu. I dlatego też radziłbym z całego serca byznesmenom na tyfus nie zapadać, albowiem niektóre przypadki tyfusu są śmiertelne. Exitus letalis.

— Czy prawdą jest, żeście, Ildefonsie, na ostatnim seansie spirytystycznym u Bęc-Walskich wykończyli Krzysztofa Kolumba?

— Prawdą jest. Natomiast nieprawdą jest, że Kolumb wykonał mnie. A że Kolumbowi zadałem tylko jedno pytanie, po co odkrył Amerykę? On powiedział, że nie wie po co, wszelako zapewnił mnie, że żałuje, że odkrył więc częściowo mu przetłumaczyłem. Co mówię? Całkowicie. Bo telegraficznie poprosiłem, żeby wizy mu w razie czego nie odmawiali, a nawet dali mu obywatelstwo słowiańskie. Bo my teraz potrzebujemy Kolumbów do odkrycia Europy. Pamiętajcie dzieci: Europa została odkryta w r 1948, czyli w Setnym Pierwszym naszej ery, czas liczymy od daty ogłoszenia Manifestu Komunistycznego.

— Sienkiewicz?

— Młodzież nie chce Sienkiewicza. Młodzież chce Kiplinga. Oczywiście Kiplinga z trepanacją za pomocą której to trepanacji z mózgu Kiplinga została usunięta spirocheta imperializmu. Nam nie chodzi o nowe rynki, tylko o nową organizację rynków. I n.y takiego Kiplinga dla młodzieży z pomocą młodzieży wyprodukujemy. I wspólny stół będzie dla wszystkich w tym kraju. I nawet politycznym analfabetom zasłumi w końcu rzecz sensacyjną jak wiosna i cudowna jak oddech: Białoczerwona flaga. I młodzież, służba Polsce kultywować zacznie nową cnotę nowego Polaka: Rozkosz demokratycznego posłuchu, „voluptas liberae obediencie” jakby się wyrażał nasz przyjaciel ksiądz Jan Płowacz z „Tygodnika Powszechnego”. Amen.

— A miłość romantyczna?

— Właśnie! Jeśli (vide artykuł) prof. Józefa Chalasińskiego w

wielkanocnej „Kuźnicy”) jest gdzieś zbieżność ideałów armii robotniczo-chłopskiej: ideałów średniowiecznego rycerstwa, to i nasz stosunek, nasz anemiczny stosunek do kobiety musi ulec zmianie. My chcemy adorować kobietę. My chcemy posyłać wiaty kobiecie. My chcemy Andromachy. Chcemy.

— A poezja polska?

— Właśnie, droga, właśnie. Chcemy wsadzić do poezji polskiej nowy, brakujący pierwiastek: Pierwiastek woli kształtującej. Requiescant natomiast in pace: estetyczna poza, nostalgia megalomania. Nowy, wspaniały świat kształtują dwaj ludzie: inżynier i poeta. Cześć inżynierom!

— A co będzie jutro?

— Jutro od nas zależy. Bo my jesteśmy twórcami epoki. Nos sumus tempora, jak się wyraził św. Augustyn, biskup Hippony.

— Zaraz, jeszcze słóweczko w sprawie naszych malarzy?

— Malarzy? W porządku. Budzą się z drzemki stalugowej i szukają wzorów ludowo-bizantyjskich.

— A pan, Ildefonsie?

— A ja wzorów trubadurskich. Niechże pani posłucha, co to za wiersz tego Wilhelma IX. brabi na Poitiers, wiek XI, w genialnym przekładzie wielkiego EDWARDA POREBOWICZA:

„En alverne, part lemozi”

Do Limuzynu sobie z Cwerni Szedłem jak pątniczek w mizerii, Spotkałem żonę pana Bernarda I Gwarynową;

Przywitały mnie pocztową mową Na San Lenarda.

A kiedy już mie tak pozdrowiły — „Gdzie ci droga, pątniku miły?

Widać ci z oczu, żeś, przyjacielu, Czek jak się godzi,

Chociaż tym traktem często przechodzi Ciemraków wielu.”

Ja ucieszony z takiej gawędy, Odpowiedział panom w te pędy I odezwałem się w sposób ten:

Tárrababart Marta babelio riben Sara ma hart.

Rozmowę przeprowadziła E. T.

Z teki dra Prota Sowizdrzała

„Obraz czyli tabella obyczajów naszego miasta”

Prawdziwych pijaków 6

Trzeźwych codziennie — liczby 100 nigdy nie przechodzi.

Szulerów — jakożkolwiek.

Grających aby przegrać — pozostaje do zliczenia.

Prawników z profesji . . . 18.650.

Lekarzów i lekarz — połowa tego.

Chorych — wszyscy.

Filozofów bez pozwolenia fakultetów 3.

Za pozwoleniem — obacz gdzie należy, rejestr patentów.

Poetów — ile młodych.

Mówców — ile starych

Rozumnych i cnotliwych musi być najmniej 4, to jest: mój ojciec.

Ja i każdego z nas jeden prawdziwy przyjaciel.

Wspaniały 1.

Sprawiedliwych 2.

Pracowitych — nie wiadomo.

Leniwych — policzyć nie podobna.

Pobożnych bez maski — trzy lata jak umarł; w maskach — patrz w kościołach i zajrzyj w ich sprawy.

— — — — —

Sędziów bez przygany — wszyscy z partii mojej.

Nie mających żadnego pociągu do kubany . . . pięciu niedawno poznałem.

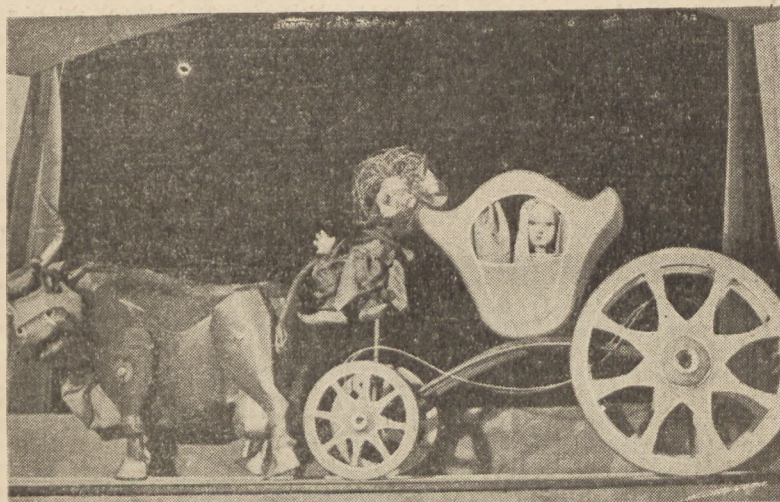
Z pociągami niczym nieprzelamanym . . . ile pięknych ekwipażów bez wystarczającej na to intrygi; a zatem (w tym miejscu liczba zartata).

(„Wiadomości Brukowe” 1818 nr. 130).

— — — — —

— — — — —

— — — — —



Teatr Lalki i aktora „Groteska” wystawia obecnie bajkę lalkową w 3 aktach Janiny Kilian Stanisławskiej pt. „Kopciuszek”. Lalki i dekoracje Zofii Howurkowej Stanisławskiej. Przedstawienia „Groteski” cieszą się wielkim powodzeniem wśród młodzieży. Niedawno teatr obchodził uroczystość 100.000 widza.

Zamieszczone w poprzednim numerze zdjęcia ze sztuki T. Hołuba „Dom pod Oświęcimm” wykonane były przez FOTO SAP

• CZYTELNIK • CAMERA OBSCURA

SPÓŁDZIELNIA WYDAWNICZA

OSTATNIE NOWOŚCI

ZYGMUNT
SZYMANOWSKI
ARTUR BER

ZARYS
MIKROBIOLOGII
SZCZEGÓŁOWEJ
CHOROBY CZŁOWIEKA
I ZWIERZĄT

Str 503
zł 500

STEFAN BANACH

MECHANIKA
W ZAKRESIE SZKÓŁ
AKADEMICKICH

TOM II

Str 325
zł 350

STEFAN ZEROMSKI

WIERNA RZĘKA

Kłechda

Str 154
zł 200

ALEKSY IOŁSTOJ

PIOTR
PIERWSZY

. Powieść

Wyd. nowe. Tłum. Stawar A.

3 tomy
zł 1380

KONSTANTY ILDEFONS
GAŁCZYŃSKI

ZACZAROWANA
DOROŻKA

Str 113
zł 250

JULIUSZ ŻULAWSKI

POLE WIDZENIA

Str 28
zł 100

MARIA OSSOWSKA

PODSTAWY
NAUKI
O MORALNOŚCI

Str 380
zł 400

WACŁAW SIERPIŃSKI

RACHUNEK
RÓŻNICZKOWY

Str 267
zł 350

M. ILJIN

SZTUCZNE OKO

Ilustr. Gotwa J.

Przemawiająca do wyobraźni opowieść o tym, jak okulary przekształciły się w mikroskop, teleskop i wreszcie w fotokomórkę najprężniejszą sztuczne oko, które dokonuje wielu cudów umie zmusić do pracy nawet cień i dym. Lekturę poleca się szczególnie uczniom o zainteresowaniach technicznych.

str 36
zł 70

WZOROWY ZAWODOWIEC

KOWAL

Oprac. Hummel B.

Książka, która zaznajamia czytelnika z podstawowymi wiadomościami z zakresu materiałoznawstwa, produkcji oraz ręcznej i termicznej obróbki żelaza i stali; omawia też rodzaje paliwa stosowane w zawodzie kowalskim. Podręcznik wyróżnia ujednoliconą polską nomenklaturą techniczną.

str 96
zł 150

CO TYDZIEŃ NAGRODA 1000 ZŁ.

Zwracamy się do czytelników „Odrodzenia” z prośbą o współpracę w dziale „Camera obscura”. Prosimy o przysyłanie dzienników, czasopism, broszur, ulotek i innych wydawnictw, z ustępami kwalifikującymi się do „Camera obscura” pod adresem: Redakcja „Odrodzenia”, Warszawa, Daszyńskiego 14, dział „Camera obscura”. Ustęp taki należy wyraźnie oznaczyć, najlepiej kolorowym ołówkiem. Komentarze nie są potrzebne. Do przysyłki należy dołączyć imię, nazwisko i adres wysyłającego. Redakcja nie zwraca nadesłanego materiału — zastrzega sobie prawo wyzyskania go w dziale „Camera obscura”. Za najlepszą rzecz danego tygodnia redakcja przynosi nagrodę w wysokości 1000 zł, którą ma prawo dzielić lub w razie braku odpowiedniej kandydatury, orzekać na następny tydzień.

WAŁY ZYGMUNTA

Z „Życia Warszawy” dowiadujemy się:

Wprowadzenia Zygmunta Starego na Plac Zamkowy podjął się Żyw. Zaw. Prac. Budowlanych.

Zaprotestował przeciwko temu Zygmunt Trzeci Waza, dowodząc, że to on właśnie mieszkał przed wojną w Warszawie na kolumnie obok Zamku. Zalił się przy tym na niedbalstwo naszej prasy, załączając następujący wycinek z „Kuriera Wielkopolskiego”:

W dniu dzisiejszym o godzinie 12-tej w salach Domu Rzemieślniczego — Wały Zygmunta (!!!) Augusta Starego 9 nastąpi otwarcie wystawy „Rzemiosło Sztuka”.

Nie wiemy niestety, od którego Zygmunta wywodzą się poznańskie Wały...

NA ZIEMI POMORSKIEJ

„Ziemia Pomorska” przynosi reportaż z wyjazdu ekipy pisarzy na wieś, w ramach akcji „Czytelnika”. Oto kilka fragmentów:

Auto „Czytelnika” dojechało do wsi Wielgie, a stąd szanowny autor cała ekipa kulturtegerów dymała już piechotą

„Śnieg zaczął niemiłosiernie ranić skórę do krwi.

Dodać trzeba, a to jest szczegół bardzo istotny, że szliśmy gęsiego na wąziutkiej ścieżynie raz po sobie a raz nad rowem i że nogi zapadały po kostki w gliniastej mazi.

Gdyśmy przybyli zziębnięci i zmordowani na miejsce, po przeszło godzinie marszu wyglądaliśmy na wszystkich, ale nie na „kulturtegerów”.

Wiemy, że droga na wieś jest uciążliwa, ale nie uwierzmy nigdy, że „śnieg ranił skórę do krwi”. Tacy już jesteśmy. Nie rozumiemy poza tym pomorskiego słowa „kulturteger” — ludzie zwróci: „Dymać piechotą”. Może, „na piechotę”?

DWA OGŁOSZENIA

NOWOOTWARTA
Kawiarnia „Danuta”
Grudziądz, Toruńska 14
poleca kwiaty w wielkim wyborze
bukiety ślubne — koszyki — wieńce
Ceny przystępne Obsługa rzetelna.

Jak się dowiadujemy, jeden ze stałych bywalców kawiarni „Danuta” zakrzucił się kolcem, spójniąc słubny bukiet róż.

Pomoc domowa do niczego ze świadectwami, przyjmie każdą pracę Łaskawe zgłoszenia do Administracji pod „Aniol” lub tel. 261-53.

I rzeczywiście tylko anioł mógł napisać o sobie, że jest do niczego. Ludzie w takich wypadkach — kłamią.

WARSZAWO,
KOCHANA WARSZAWO!

Oto wizja Warszawy przyszłości: w oczach redaktora tygodnika „Stolica”:

Będzie to, jak widać, a właściwie nie widać, pierwszy na świecie dom-niewidka. Pominąwszy minimalny koszt budowy takich domów, uzyskuje się ponadto wrażliwe przestrzeni przy najgłębszej nawet zabudowie.

ZGUBNE BAJKI

„Wieczór” drukuje wywiad z popularną w Ameryce parą aktorów Jamesem i Pamela Mason. Dowiadujemy się między innymi, że:

Masonowie często przyjmują w swoim domu bliskich przyjaciół i sami chodzą do ekskluzywnego klubu „Bociana” w Nowym Jorku. Pomimo tego, dzieci nie mają.

Oto są skutki okłamywania dzieci. Należy z tym orędzie, uświadomić państwo Mason, chyba że historia „Wieczoru” z bocianem, jest kaczka...



COS DLA KOBIET

W „Rejsach”, ilustrowanym dodatku do „Dziennika Bałtyckiego” czytamy:

Oryginalny i bardzo praktyczny model sukni demonstrowała jedna z firm angielskich. Suknia ta, z cienkiej wełny, jest z tyłu zupełnie gładka, a z przodu silnie udrapowana i zapinana od pasa do góry na guziki. W ten sposób nosi się ją sukniew w dzień. Natomiast wieczorem kładzie się ją tyłem do przodu, przez co suknia zupełnie zmienia charakter i staje się o wiele strojniesz. Można ten mały tylko jedną wadę: dostępny jest wyłącznie dla pań, zupełnie jednakowych z przodu i z tyłu.

My, wolimy jednak panie, posiadające dwie różne strony.

HUMOREK

„Dziennik Łódzki” przynosi jeden dowcip dziennie za dużo:

— Panie konduktorze, czy ty jest

Opuszczam, ale teraz nazywa się Konopnickiej.

— O, nie wiedziałem! Czyżby Konopnicka po raz drugi wyszła za mąż?

Chesterfon powiedział, że poczucie humoru polega na świadomości z czego można i z czego nie można żartować.

ROZTARGNIONY „ŻOŁNIERZ”

W „Żołnierzu Polskim” czytamy: W związku z 80-tą rocznicą urodzin, zmarłego w 1936 wielkiego pisarza radzieckiego Maksyma Gorkiego, w następnym numerze będziemy drukowali artykuł poświęcony jego twórczości.

I nieco niżej pod fotografią: Maksym Gorkij w rozmowie z Romanem Rollandem na dworcu moskiewskim w roku 1938!!!

(S. I. B.)

— Moja pani, moja pani, w dwa lata po śmierci! A mówią, że nie ma cudów...

HABEMUS PAPAm

W biuletynie PAP-u czytamy:

Wybitny pisarz i pedagog radziecki Antoni Makarenko (autor popularnego u nas „Poematu pedagogicznego”) obchodzi 60-tą rocznicę urodzin. Akademia Nauk Pedagogicznych w Moskwie uczciła solenizanta uroczystym zebraniem, w którym udział wzięli liczni współpracownicy Antoniego Makarenko oraz jego wychowankowie.

Ponieważ skądinąd wiemy, że Makarenko nie żyje, skłonni jesteśmy przypuścić, że informacja PAP-u jest zwykłą PAPlaniną.

